WIELKA LITERA

URSZULA JABŁOŃSKA
MAGDALENA KICIŃSKA
KAJA PUTO
MAŁGORZATA REJMER
ZIEMOWIT SZCZEREK
MACIEJ WASIELEWSKI
MIROSŁAW WLEKŁY
AGNIESZKA WÓJCIŃSKA

OBRAŻENIA
POBICI Z POLSKĄ



Reportaże o Człowieku, w których jedni o drugich mówią: „ścierwo, bydło, robale". Ta książka, to lustro prawdy o nas samych.

JANINA OCHOJSKA

URSZULA JABŁOŃSKA
MAGDALENA KICIŃSKA
KAJA PUTO
ZIEMOWIT SZCZEREK
MAŁGORZATA REJMER
MACIEJ WASIELEWSKI
MIROSŁAW WLEKŁY
AGNIESZKA WÓJCIŃSKA

OBRAŻENIA

POBICI Z POLSKĄ

WIELKA LITERA

ZAMIAST WSTĘPU

Ze słownika języka polskiego:

Obrażenie: *rzeczownik, rodzaj nijaki*

– rzeczownik odczasownikowy od: obrazić (obrazić – obrażać)

1. «uchybić czyjejś godności osobistej słowem lub czynem»
2. «naruszyć słowem lub czynem jakieś normy, prawa lub wartości»

– uszkodzenie (tkanek lub narządów ciała, np. poprzez złamanie, zranienie, działanie promieniowania itp., poprzez działanie czynników wewnętrznych lub zewnętrznych)

Uwagi:

– rzadko występuje w liczbie pojedynczej.

BIOGRAMY AUTORÓW

Mirosław Wlekły (ur. 1978 r.) – reporter „Dużego Formatu", absolwent Polskiej Szkoły Reportażu, autor książki *All inclusive. Raj, w którym seks jest bogiem* (2015), jego reportaże ukazywały się w zbiorach: *Grzech jest kobietą* (2013) i *NieObcy* (2015), współautor reportażu i spektaklu teatralnego *Swarka* (Teatr Polski w Bydgoszczy 2015), nominowany do Nagrody Newsweeka im. Teresy Torańskiej i Nagrody im. Beaty Pawlak.

Małgorzata Rejmer (ur. 1985 r.) – pisarka, reporterka. Autorka powieści *Toksymia* (nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia) i reportażu *Bukareszt. Kurz i krew* (2013 Nagroda Newsweeka im. Teresy Torańskiej, Nagroda Literacka dla Autorki „Gryfia" i nominacja do Nagrody Literackiej Nike), Nominowana do Paszportów Polityki, laureatka Gwarancji Kultury.

Urszula Jabłońska (ur. 1980 r.) – absolwentka orientalistyki na Uniwersytecie Warszawskim oraz Polskiej Szkoły Reportażu. Pracowała jako dziennikarka w „Gazecie Wyborczej", potem jako wicenaczelna magazynu „Exklusiv". Obecnie jest freelancerką, pisze reportaże do gazet i książek. Laureatka nagrody Grand Press 2012 w kategorii „Reportaż prasowy", finalistka w konkursie o Stypendium dla Młodych Reporterów im. Ryszarda Kapuścińskiego w 2013 roku i stypendystka Ministra Kultury 2015. Członkini Stowarzyszenia Reporterów „Rekolektyw".

Agnieszka Wójcińska (ur. 1976 r.) – reporterka, publikuje m.in. w „Wysokich Obcasach", „Dużym Formacie", „Polityce", „Zwierciadle", „Tygodniku Powszechnym" i kwartalniku „Dialog-Pheniben". Autorka książek *Reporterzy bez fikcji. Rozmowy z polskimi reporterami* (2011) i *Perspektywa mrówki. Rozmowy z reporterami świata* (2015) oraz reportaży w antologiach Pod jej redakcją ukazała się antologia reportaży *Mur. 12 kawałków o Berlinie* (2015).

Kaja Puto (ur. 1990 r.) – autorka tekstów publicystycznych i esejów, redaktorka i tłumaczka z języka niemieckiego, związana z Korporacją Ha!art. Publikowała m.in. w: „Ha!arcie", „Polityce", „Nowej Europie Wschodniej". Redaktorka książki *Literatura i kino. Polska po 1989 roku*.

Ziemowit Szczerek – (ur. 1978 r.) – dziennikarz, pisarz, tłumacz, autor książek, m.in.: *Przyjdzie Mordor i nas zje* (2013), *Rzeczpospolita zwycięska* (2013) i *Siódemka* (2015). Współpracuje z Korporacją Ha!art, „Polityką", „Nową Europą Wschodnią". Laureat Paszportu „Polityki", nominowany m.in. do Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus i Nagrody Literackiej Nike.

Magdalena Kicińska (ur. 1987 r.) – reporterka, współpracowniczka „Gazety Wyborczej", autorka książki *Pani Stefa* (2015). Publikowała też m.in. w „Polityce", „Tygodniku Powszechnym". Nominowana do Nagrody im. Teresy Torańskiej.

Maciej Wasielewski (ur. w 1982 r.) – autor książek *Jutro przypłynie królowa* (2013), *Bim, bam, bom, mogę*

wszystko! (2013), oraz współautor *81:1. Opowieści z Wysp Owczych* (2011).

MIROSŁAW WLEKŁY

ZGORSZENIE POLSKIE

W Pakistanie, Arabii Saudyjskiej czy Sudanie za bluźnierstwo grozi śmierć. Niemcy, Dania, Grecja, Włochy, Irlandia, Cypr i Malta to jedyne kraje Europy, w których można karać za obrazę uczuć religijnych, choć rzadko się to robi. W Polsce artykuł 196 Kodeksu karnego mówi, że: „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej, podlega grzywnie albo karze pozbawienia wolności do dwóch lat". A Polacy chętnie się do niego odwołują. Chcę się dowiedzieć dlaczego.

SPALENIE BOGA PERUNA

Obrażony: Adam Miauczyński z Nowego Sącza, rodzimowierca

W połowie lipca 2012 roku zdenerwowany Adam Miauczyński z Nowego Sącza pisze do prokuratury:

„Zgłaszam przestępstwo ścigane z artykułu 196 Kodeksu karnego. Na filmie pod linkiem: http://www.youtube.com/watch?v=Y3gVAwOKtS4 jest palony posąg bóstwa czczonego przeze mnie i trzy formalnie zarejestrowane związki wyznaniowe w Polsce (Związek Wyznaniowy Rodzima Wiara, Zachodniosłowiański Związek Wyznaniowy Słowiańska Wiara, Rodzimy Kościół Polski). To analogiczne, jak gdyby ktoś próbował «inscenizować» spalenie Biblii, krzyża czy figury przedstawiającej Jezusa".

Oglądam nagranie: na filmie widać wojowników w dawnych słowiańskich strojach. Spacerują wokół spalanego w ognisku posągu i wykrzykują:

„Kto jeszcze nie wierzy?

Komu mało?

Nowa wiara!

W tym nasza przyszłość!”.

Atmosfera pikniku, wokół ludzie w letnich ubraniach robią sobie pamiątkowe zdjęcia, śmieją się dzieci. To ważne: gapie też zostaną oskarżeni o obrazę uczuć religijnych.

Film nakręcono 12 czerwca 2010 roku podczas VI Festiwalu Kultury Słowiańskiej i Cysterskiej w Lądzie. Festiwal organizowany jest od 2005 roku. Pięć lat później odbył się pod hasłem „Misje, kościoły i klasztory”, a zapowiadano go tak: „W 966 roku Mieszko I przyjął chrzest, a w dwa lata później, w 968 roku, do państwa piastowskiego przybył biskup Jordan z zadaniem nawrócenia jego mieszkańców na wiarę chrystusową. Misja nie była łatwa; z jednej strony człowiek wychowany w kulturze zachodnioeuropejskiej, z drugiej zaś tłumy ludzi kultywujących tradycje swoich przodków i podejrzliwie spoglądających na obcą im religię…”.

W sobotę 12 czerwca 2010 roku o godzinie trzynastej trzydzieści w klasztorze w Lądzie rozpoczął się cykl wykładów. Wśród nich: „Jak nawrócić i ochrzcić Słowianina?” lub „Jak święty Wojciech bałwany pogańskie palił i co z tego wynikło”. O godzinie szesnastej na podgrodziu rozpoczęła się inscenizacja pod tytułem „Niech Bóg pokaże swoją siłę”, podczas której palono pogańskie posągi.

Dwa lata później Adam Miauczyński, lat 20, bezrobotny, kawaler, niekarany, zgłasza w tej sprawie ustne zawiadomienie do prokuratury. Na film

w internecie natyka się przypadkiem. Nie jest jeszcze członkiem żadnego z rodzimowierczych związków, jednak zamierza do jednego z nich przystąpić.

Śledczym mówi: „Bóg Perun odpowiada ogólnie za burze i pioruny. Wierzę w to, że objawia się w postaci żywiołów. Z tego, co się orientuję, to w Polsce jest około tysiąca osób, które wyznają wiarę rodzimowierczą. Ja nie potrafię dużo powiedzieć na temat tej wiary, ponieważ stosunkowo niedawno zostałem rodzimowiercą, to znaczy kilka miesięcy temu […]. Sądzę, że pomysłodawca tego palenia Peruna przyczynił się do tego, że moje uczucia religijne zostały obrażone. Pośrednio również osoby, które brały udział w inscenizacji, są winne obrazy moich uczuć religijnych, bo wcale nie musiały tego robić. Proszę sobie wyobrazić, jakby czuł się katolik, gdyby palony był krzyż. Ja to samo czuję, jak widzę, że palony jest posąg Peruna czy jakiegokolwiek innego bóstwa słowiańskiego".

Z Adamem Miauczyńskim nie udaje mi się porozmawiać. O spalenie Peruna wypytuję jednak Stanisława Potrzebowskiego, naczelnika Rodzimej Wiary.

– To nie była mądra inscenizacja, gdyż spięcia między wyznawcami różnych religii w ten sposób się nasilają. Wojny religijne już dosyć złego narobiły – twierdzi. – Denerwuje mnie też, gdy katoliccy hierarchowie z okazji tysiąc pięćdziesiątej rocznicy chrztu Polski ogłaszają, że w 966 roku zaczęła się historia naszego kraju, bo właśnie wtedy zszedł z drogi bałwochwalstwa. Mnie to obraża. A gdybyśmy my podczas naszych świąt spalili portret jakiegoś

chrześcijańskiego świętego? Już sobie wyobrażam, co by się wtedy działo.

Dziesiątego sierpnia 2012 roku Komenda Miejska Policji w Nowym Sączu odmówiła wszczęcia dochodzenia w sprawie spalenia posągu Peruna wobec braku znamion czynu zabronionego.

CHRONIĆ TO, CO LUDZKIE

„Indywidualny przedmiot ochrony tego czynu zabronionego opisuje się również jako wolność od dyskomfortu psychicznego spowodowanego zachowaniami wyrażającymi brak szacunku dla wyznania pokrzywdzonego. Przedmiotem ochrony na żadnym poziomie ogólności nie jest cześć czy godność samego bóstwa [...], przedmiotem ochrony przepisu art. 196 Kodeksu karnego «nie jest to, co boskie, ale to, co ludzkie»".

Magdalena Budyn-Kulik, *Znieważanie uczuć religijnych – analiza dogmatyczna i praktyka ścigania*, Instytut Wymiaru Sprawiedliwości

PRZYSTANEK BARANIAKA

Obrażony: Michał Grześ z Poznania, radny miejski

Interpelacja do biura Rady Miasta Poznania wpływa 17 września 2014 roku i dotyczy: „szanowania uczuć religijnych osób wierzących przez Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne".

Radny Prawa i Sprawiedliwości i wiceprzewodniczący rady miasta Michał Grześ pisze w niej tak:

„Pasażerowie komunikacji miejskiej – osoby, jak podkreślają, wierzące – zwracają uwagę na czytanie w pojazdach nazwy przystanku przy ulicy Arcybiskupa Antoniego Baraniaka. Głos w pojazdach czyta «Baraniaka». Osoby, które się do mnie zwróciły w tej sprawie, proszą o pełne czytanie nazwy ulicy, uważają, z czym się zgadzam, że postać Arcybiskupa Antoniego Baraniaka jest wielce zasłużona dla Poznania. Proszę nie odpowiadać, że nazwa jest zbyt długa, bo przystanek Jana Nowaka-Jeziorańskiego jest czytany w całości. Proszę też o całościowe użycie nazwy na wyświetlaczach”.

Z Michałem Grzesiem, lat 51, nauczycielem informatyki i przedmiotów elektrycznych, radnym od sześciu kadencji, rozmawiam kilka miesięcy później.

– Zadzwonił jeden z dwóch obrażonych panów, żądał reakcji, a ja w ferworze nerwów napisałem tę interpelację. Zatytułowałem ją nieopatrznie, cytując tego pana. Przecież nie tylko takimi sprawami się zajmuję. Tyle ważnych interpelacji w życiu składałem, ale cała Polska zainteresowała się właśnie tą. Ten mój rozmówca zrobił mi taką awanturę, jakbym to ja był temu winien. Zadzwonię do niego, zapytam. Jeśli miał odwagę na mnie nakrzyczeć, to i z panem porozmawia.

Po tygodniu:

– Nie chce rozmawiać, chyba się wystraszył. Gdyby był pan z Radia Maryja albo Telewizji Trwam, to pewnie by się odważył. Znam go od dziecka. Od lat w kościele widuję. Mieszkamy na tym samym osiedlu. Musi być po osiemdziesiątce. Jego żona: taka pituchna kościelna. On: trochę mniej. Kiedyś głosowali na Ligę

Polskich Rodzin, ale jak ta partia znikła, to przerzucili się na mnie. Na mnie, bo w Poznaniu nic już bardziej na prawo od mnie nie ma, no, może tylko radny Alexandrowicz.

Ale skoro ten pan nie chce rozmawiać, trudno. Sam opowiem panu, jak to było.

Zadzwonił i mówi, że ten przystanek to złośliwość nowego prezydenta, który nie lubi Kościoła. Starałem się wytłumaczyć, że poprzedni prezydent bardzo dobrze żył z Kościołem, a nazwa przystanku czytana była tak samo. Ale przyznać mu rację musiałem, bo arcybiskup wielce zasłużony. Znałem go osobiście, bo byłem ministrantem. Sprawdziłem też, że w Warszawie czy Katowicach czyta się nazwiska w całości. No bo jak niby to brzmi: „Maczka"? Czy nie lepiej choćby: „Generała Maczka"? Rozmawiałem też z dziennikarzami z telewizji z Poznania i powiedzieli mi, że kiedy podają, że są „korki na Hlonda", to zaraz mają telefony z pytaniem: „A gdzie słowo «arcybiskupa»?".

Po interpelacji zaczęła się lawina. Dziennikarze dzwonili. Oczywiście dostałem też maile: „Ty sługo czarnych, zgnijesz!". I inne: że siebie i miasto ośmieszam. W szkole pracuję, więc jakieś tam przycinki od uczniów też dostałem.

A teraz myślę, że chodzi bardziej o szacunek, a nie obrażanie uczuć. Ale metodologię nazywania przystanków warto przedyskutować.

Z analizy Zarządu Transportu Miejskiego w Poznaniu wynika, że wprowadzenie odpowiednich zmian w nazewnictwie przystanków (nie tylko

arcybiskupa Baraniaka, ale też kilkudziesięciu innych) kosztowałoby miasto 186 300 złotych.

PASKUDZTWA GROTOWSKIEGO

„W czasach prehistorycznych, w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, wystawiany był spektakl *Apocalypsis cum figuris* Jerzego Grotowskiego. Wtedy pojawił się protest biskupa Bronisława Dembowskiego, który powiedział, że to jest coś niegodnego, a prymas Stefan Wyszyński stwierdził, że to jakieś paskudztwa. Nie minęło dwadzieścia lat, a Jerzy Grotowski dostał wielką watykańską Nagrodę imienia Fra Angelico, którą wręczył mu prymas Józef Glemp. Między sztuką a religią musi następować wzajemne przenikanie. U Mickiewicza też znajdziemy elementy obrazoburcze, a dziś to kanon polskiej literatury”.

Tomasz Dostatni OP, dominikanin, w czasie debaty „Kultury Liberalnej” o ochronie uczuć religijnych, lipiec 2015

GŁOWA ELTONA JOHNA

Obrażony: Artur Paczyna z Bytomia, prezes Śląskiego Środowiska Wiernych Tradycji Łacińskiej

Studiował historię, bankowość i prawo. Był komendantem straży miejskiej w Bytomiu (organizował dla swoich podwładnych msze, powiesił krzyż w komendzie, poświęcił sztandar).

W mailu pisze mi, że temat wystawy pod tytułem *Bad News* uważa za wyczerpany. Nie chce ze mną

rozmawiać, więc czytam o nim w „Dużym Formacie”.

Paczyna mówi tam, że są dwa modele państwa: *civitas terrena* – państwo szatańskie oraz *civitas Dei* – państwo boże. Pragnąłby ulic bez świadków Jehowy (bo głoszą herezję i zakłócają spokój), skwerów i parków bez ściskających się homoseksualistów (bo z punktu widzenia *Katechizmu Kościoła katolickiego* dopuszczają się czynów wołających o pomstę do nieba) i szpitali bez oddziałów transplantologicznych (bo nie wolno wyrywać narządów z żywych). W portfelu nosi kartkę z informacją, że nie godzi się na pobranie narządów (ewentualnie dla rodziny).

Przewodniczy Śląskiemu (a wcześniej Bytomskiemu) Środowisku Wiernych Tradycji Łacińskiej. Tworzą je w 2006 roku katolicy z Bytomia, „wierni nauczaniu Papieży Kościoła Katolickiego, znanych z umiłowania tradycyjnej liturgii […], pragnąc przywrócić należne miejsce – wydobywanemu ze skarbca Kościoła rzymskokatolickiego, odkrywanemu na nowo – dostojnemu, «staremu» rytowi mszy świętej według Mszału świętego Piusa V, w celu skuteczniejszej promocji tradycyjnych form pobożności oraz obrony wartości katolickich w życiu publicznym”.

Nie wszyscy papieże przypadają im do gustu.

W odpowiedzi na apel papieża Franciszka o przyjmowanie uchodźców piszą oświadczenie: „Ze smutkiem konstatujemy, że w tym kontekście niezrozumiałe jest dla nas prywatne – niemające charakteru nieomylności – stanowisko Ojca Świętego Franciszka, które oparte na fałszywie rozumianej

miłości bliźniego, demobilizuje katolicką opinię publiczną i osłabia słuszny opór wobec niechcianych przybyszów".

Niemal dekadę wcześniej, w maju 2006 roku, w imieniu Środowiska Artur Paczyna pisze do prokuratury, prezydenta Bytomia, galerii Kronika i redakcji „Życia Bytomskiego":

„W związku z ohydną prowokacją, wymierzoną w katolików oraz w Namiestnika Chrystusa na Ziemi, której dopuszczono się w galerii Kronika w Bytomiu – w przeddzień wizyty Ojca Świętego Benedykta XVI w Polsce – Bytomskie Środowisko Wiernych Tradycji Łacińskiej składa swój stanowczy protest. W okresie wzmożonej antykatolickiej propagandy, obrazoburczej i pseudoartystycznej działalności bohomaz wystawiony na wystawie w galerii Kronika wpisuje się w nurt obrażania uczuć religijnych katolików oraz Ojca Świętego – głowy państwa Watykan. Nie mogąc przejść obojętnie wobec incydentu, do jakiego doszło w instytucji kulturalnej finansowanej przez katolicką w większości społeczność Bytomia, domagamy się – od kierownictwa galerii oraz od jej mecenasa, czyli władz miasta Bytomia – przeprosin. Jednocześnie, w związku z uzasadnionym podejrzeniem popełnienia czynu wypełniającego znamiona przestępstwa określanego w artykule 136 paragraf 3 Kodeksu karnego, zawiadamiamy niniejszym o nim organy ścigania i wnosimy o wszczęcie postępowania przygotowawczego w celu wykrycia i ukarania sprawców tego haniebnego czynu".

Podczas przesłuchania Paczyna przyznaje, że nie był w galerii, a zdjęcie obraźliwego plakatu przysłał mu

ktoś mailem. Twierdzi, że: „Papież nie jest mordercą ani prześladowcą homoseksualistów. Nie jest również sadystycznym oprawcą”.

Plakat towarzyszył koncertowi czeskiej anarchistycznej grupy Guma Guar na otwarcie wystawy *Bad News* w galerii Kronika. Fotomontaż przedstawiał papieża Benedykta XVI trzymającego w podniesionej ręce głowę homoseksualnego piosenkarza Eltona Johna. W galerii umieszczono tabliczki z informacją, że niektóre prace mogą być uznane za kontrowersyjne, nie wyrażają poglądów pracowników galerii, kuratorek, ich celem nie jest obrażanie uczuć religijnych i nie należy ich traktować dosłownie, lecz jako konwencję artystyczną.

Prokuratura Rejonowa w Bytomiu umorzyła zarówno śledztwo w sprawie obrazy uczuć religijnych, jak i w sprawie znieważenia głowy Państwa Watykańskiego. Także prokuratura w Pradze uznała, że w rozumieniu czeskiego Kodeksu karnego postępowanie grupy Guma Guar nie zawiera znamion przestępstwa, a Hanna Suchocka, ambasador Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej, poinformowała, że w Watykanie nie obowiązuje zasada wzajemności regulująca przestępstwo znieważenia króla lub głowy innego państwa.

HISTORIA ZGORSZENIA

Ledwie znikła w III Rzeczypospolitej cenzura, a już pojawiły się spory o to, czy nie ograniczyć wolności wypowiedzi artystom. W 1997 roku aż sześćdziesiąt cztery zawiadomienia trafiły do prokuratur w sprawie plakatu z ukrzyżowanym aktorem reklamującym film

Skandalista Larry Flynt. Wielka awantura wybuchła w 2000 roku, gdy włoski artysta Maurizio Cattelan przygniótł w Zachęcie rzeźbę Jana Pawła II meteorytem. Rok później artystka Dorota Nieznalska ukrzyżowanym penisem skomentowała cierpiących na siłowni mężczyzn. W 2007 roku lider zespołu Behemoth Adam Darski podarł w czasie koncertu Biblię. Nie zabrakło obrażonych, którzy zawiadamiali prokuraturę, w żadnej z tych spraw nie doszło jednak do skazania. Choć urażonych nie brakuje, prokuratura bardzo często odmawia w ogóle ścigania. Tak było, gdy bluesman Ryszard Riedel wyobrażał sobie w piosence, że „nie ma Boga", gdy tygodnik „Wprost" opublikował na okładce Matkę Boską z Markiem Jurkiem jako Dzieciątkiem (1994), gdy „Rzeczpospolita" przedrukowała karykatury Mahometa (2006) lub gdy kilka osób ułożyło krzyż z puszek po piwach na Krakowskim Przedmieściu (2010).

ARCYBISKUP MICHALIK O PEDOFILII

Obrażona: Małgorzata Marenin z Kielc, feministka

Lat 33, wykształcenie wyższe (chemia z ochroną środowiska), rozwódka, matka ośmiolatka, twórczyni stowarzyszenia Stop Stereotypom, była członkini Ruchu Palikota (którym się rozczarowała), ateistka, feministka.

Zdenerwowały ją słowa arcybiskupa Józefa Michalika. W październiku 2013 roku, krótko po ujawnieniu księżowskich skandali pedofilskich na

Dominikanie, w homilii w katedrze we Wrocławiu przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski grzmi:

„Wiele dziś mówi się – i słusznie – o karygodnych nadużyciach dorosłych wobec dzieci. Tego rodzaju zła nie wolno tolerować. Ale nikt nie pyta o przyczyny, żadna stacja telewizyjna nie walczy z pornografią, z promocją fałszywej, egoistycznej miłości między ludźmi. Nikt nie upomina się za dziećmi cierpiącymi przez brak miłości rozwodzących się rodziców, a to są rany bolesne i długotrwałe".

Tydzień wcześniej, pytany przez dziennikarzy o problem pedofilii, arcybiskup dopowiada:

„Wielu tych molestowań udałoby się uniknąć, gdyby te relacje między rodzicami były zdrowe. Słyszymy nieraz, że to często wyzwala się ta niewłaściwa postawa, czy nadużycie, kiedy dziecko szuka miłości. Ono lgnie, ono szuka. I zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga".

– Też jestem po rozwodzie – mówi mi Małgorzata Marenin dwa lata później. – Mąż miał problemy z hazardem, był osobą skrajnie nieodpowiedzialną, decyzję o rozwodzie podjęłam dla dobra dziecka. Myślę, że jako odpowiedzialna matka nie mogłam postąpić inaczej. Ale według arcybiskupa ludzie rozwodzą się, bo mają takie widzimisię, nie z powodu poważnych problemów, nad którymi Kościół nie chce się pochylić. Troszczy się o rodziny pełne albo wielodzietne. Ale nie pochyla nad rodzinami rozbitymi. Bo przecież my, feministki czy rozwodnicy, tylko dobrze się bawimy, nie patrzymy na dobro dziecka i dlatego winni jesteśmy pedofilii. A już najbardziej

szkaradne było potraktowanie tych dzieci: że lgną i szukają miłości, postrzeganie ich jak zła, które przynosi grzech. Czyli mój syn jako potencjalne zagrożenie dla niewinnych księży?

Jestem ateistką, ale pochodzę z wierzącej rodziny. Babcia jest religijna. Wiem, że rozmawiała ze znajomymi o moim pozwie i złego słowa mi nie powiedziała. Syn? Wytłumaczyłam mu ogólnie, o co w tym wszystkim chodzi. Sam wcześniej mnie zapytał, co to znaczy pedofilia. Osobiście nie spotkałam się z krytyką. Co ciekawe, odezwało się do mnie wielu samotnych ojców. Opowiadali, jak im trudno i że my, rozwiedzeni rodzice musimy bronić swojej godności. Przecież to, że rodzice się rozwodzą, nie musi oznaczać braku miłości do dziecka.

Przeprosin się nie doczekałam, ale czuję moralne zwycięstwo. Hierarchowie musieli tłumaczyć się ze swoich słów. Od tamtej pory podobne już nie padły.

Wciąż stoję na straży tej sprawy. Śledzę wypowiedzi. Nie zawaham się pozwu powtórzyć. Jeśli Kościół ma problem z pedofilią, musi sobie z nią poradzić. A nie zrzucać winę na dzieci.

Małgorzata Marenin nie powoływała się na artykuł 196 Kodeksu karnego, bo nie obowiązuje on ateistów. W imieniu syna domagała się odwołania słów arcybiskupa, przeprosin i zadośćuczynienia. Zarówno Sąd Rejonowy we Wrocławiu, jak i Sąd Okręgowy w Przemyślu uznały, że wypowiedź duchownego nie wyczerpuje znamion przestępstwa.

OBRAZA TWÓRCÓW BIBLII

Piosenkarka Doda jest jedną z niewielu skazanych za obrazę uczuć religijnych w III RP. Grzywnę pięciu tysięcy złotych musiała zapłacić za to, że w jednym z wywiadów stwierdziła, że autorzy Biblii to ludzie „napruci winem i palący jakieś zioła”.

Jej prawnicy poskarżyli się na ten wyrok Trybunałowi Konstytucyjnemu, twierdząc, że przepis ogranicza prawo osób niereligijnych do swobodnego wyrażania poglądów na temat przedmiotów czci religijnej i nie chroni na równi uczuć osób wierzących i niewierzących, czym narusza zasadę bezstronności państwa w sprawach sumienia i wyznania.

SMS-Y OD ŻONY

Obrażony: Roman Huskowski z Bytomia, świadek Jehowy

Ma 41 lat, pismo lekko pochylone w prawo, słowa dla niego ważne kreśli wersalikami.

27 grudnia 2013 roku:

„Zawiadamiam o popełnieniu na moją szkodę przestępstwa, określonego w artykule 196 Kodeksu karnego, polegającego na obrażaniu, wyszydzaniu moich uczuć religijnych przez wielokrotne rozmowy, także przy dziecku i obcych ludziach, przez kontakty telefoniczne, SMS-owe – dostarczam kilkanaście (dwanaście) SMS z przestrzeni kilku miesięcy, które podkreślają, jak obraża moje uczucia moja «jeszcze» żona. A także przez publiczne wyszydzanie, obrażanie moich uczuć, mojej religii, mojego Boga, moich przyjaciół […], pomawia mnie o szemrane spotkania! O modły w jakiejś złej intencji! O to, że potrzebuję

mojej córeczki (ma dziewięć lat) do jakichś nie wiadomo jakich celów! […]. Mając powyższe na uwadze, wnoszę w tej sprawie o wszczęcie postępowania, ściganie i ukaranie sprawcy przestępstwa”.

W załączonych SMS-ach żona pisze do męża tak:

7 czerwca 2013: „To czekaj tam na mnie zboczencu religijny! Pogadamy razem nie zamacisz już dziecku i nie zabierzesz na 9 godz.”.

11 września 2013: „Nienawidze cie kocie i nie za to ze zdradziles rodzine dla jehuwki ale za kalumnie i klamstwa wobec mnie ty nie wiesz co to honor! Kit kat jest w promocji”.

2 grudnia 2013: „Znow dziecko zostawiles samo z kotami podalam adres ich beda mieli wizyte a jesc obiad dziecku u siebie zabroniles a koty oblesna pizze jej daja! Wstyd!”.

Żona Romana Huskowskiego podczas przesłuchania twierdzi, że powodem rozstania z mężem były jego „liczne zdrady oraz to, że nie pracował, całymi dniami siedział w domu i czytał Biblię”, a czasami „też podnosił na nas ręce”. Opowiada, że gdy ich córka wraca od niego, „to płacze, bo ojciec jej wiecznie czyta Biblię i każe nas nawracać, kochać Jahwe bardziej niż własną rodzinę”.

Roman Huskowski też żali się śledczym:

„[Żona] przedstawiała moją religię jako zarzewie zła. Wielokrotnie w różnych okolicznościach nazywała mnie kotem w związku z moją religią. Wyszydzała imię mojego Boga, przekręcając je w różne sposoby.

Wszyscy moi znajomi świadkowie Jehowy to są [jej zdaniem] lumpy. Mówiła, że karmię się jakimiś obleśnymi rzeczami, zarzucała mi, że w związku z tym coś grozi mojej córce".

Opowiada, że żona na ulicy ubliżała jego znajomym, nazywając ich kotami perskimi i syjamskimi, a gdy przechodził ze współwyznawcą pod oknem jej mieszkania, to miauczała. Podkreśla, że jego wyznanie żonie nie przeszkadzało, dopóki miał dobrze płatną pracę:

„Ja od dwudziestu dwóch lat jestem świadkiem Jehowy i byłem nim przed zawarciem związku małżeńskiego, my wzięliśmy jedynie ślub cywilny […]. Od około dwóch lat przy okazji zmiany kolejnej pracy zarabiałem mniej, moja żona jakby nie mogła się z tym pogodzić. Zaczęła mieć do mnie pretensje, że angażuję się w sprawy duchowe, czytałem Biblię i tym podobne, w związku ze zmianą pracy miałem więcej czasu i żyłem bardziej duchowo".

Prokuratura Rejonowa w Bytomiu odmówiła wszczęcia dochodzenia w sprawie obrazy uczuć religijnych z powodu braku znamion czynu zabronionego, a tamtejszy Sąd Rejonowy nie uwzględnił zażalenia Romana Huskowskiego na to postanowienie.

STATYSTYKA

W latach 1999–2014 policja wszczynała średnio ponad 48 postępowań rocznie w sprawie obrażania uczuć religijnych.

SIKANIE POD CHÓREM

Obrażony: Tomasz Grzelski z Bydgoszczy, kościelny

Łucjan Trzeciakowski mocz oddaje między ławkami, pod lewym chórem, w obecności około piętnastu osób. W sobotę 1 maja 2010 roku na porannej mszy świętej w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa na placu Piastowskim w Bydgoszczy.

Lat 24, kawaler, kilkakrotnie karany, z zawodu stolarz, bezrobotny, bezdomny, pomieszkujący na działce numer 53 ogródków działkowych przy ulicy Inowrocławskiej.

Do wejścia do kościoła zachęca go pięćdziesięcioczterolatek („Gdyż chciałem się pomodlić"), z którym wcześniej pił wódkę i piwo. Trzeciakowski zezna potem: „Na rondzie coś wypiliśmy […]. Ja nie pamiętam ile, gdyż byłem jeszcze pijany, gdyż w nocy byłem na imprezie w lokalu […]. Z uwagi na to, że byłem bardzo pijany, nie pamiętam, na której ławce usiadłem. Wiem jedynie, że chciało mi się siku. W związku z tym załatwiłem się na miejscu pod ławkę".

Wezwani policjanci zauważają, że „zataczał się przy krawędzi jezdni, z ust wyczuwalna [była] silna woń alkoholu, mowa bardzo bełkotliwa, problemy z utrzymaniem równowagi…".

Policję powiadamia Tomasz Grzelski, lat 36, kościelny:

„Mężczyzna ten w moim odczuciu dokonał obrazy uczuć religijnych […] i powinien ponieść karę".

Nazajutrz Łucjan Trzeciakowski przyznaje się do znieważania miejsca przeznaczonego do publicznego wykonywania obrzędów religijnych.

Z parafialnej strony internetowej dowiaduję się, że kościelny Tomasz Grzelski jest „nad wyraz rzetelny i pracowity oraz znający się na rzeczy, a przy tym obdarzony dużą dozą poczucia humoru".

Wypytuję go pięć lat po tamtym zdarzeniu.

– Nie za ostro pan go potraktował? Facet pewnie był pijany w sztok, popuścił, może nie zrobił tego, by kogoś obrażać?

– To akurat było z premedytacją – nie ma wątpliwości Tomasz Grzelski. – Facet zaczepiał ludzi podczas mszy. A kiedy próbowałem go wyprowadzić z kościoła, to stwierdził, że się odleje. Przecież nie do każdego wypróżniania w kościele wołam policję.

– To jest ich więcej?! – dziwię się.

– Kościelnym jestem od osiemnastu lat i zdarzało się już wiele razy. Kilkakrotnie ktoś zesikał się do kropielnicy. Dwukrotnie zostawiano kał przed ołtarzem. Kościół jest otwarty przez cały dzień i w każdej chwili można wejść się pomodlić. Wchodzą nie tylko po to. Piją w kościelnych ławkach. Jedzą. Syf zostawiają taki, że ludzie nie są potem w stanie w ławce usiąść. Innym razem ktoś sprofanował stułę przewieszoną przez konfesjonał. Wypisał na niej trzy szóstki. W czasie mszy potrafią stać z dziesięć minut w nawie i wykrzykiwać: „Złodzieje, pedały!". Zazwyczaj w dni powszednie, kiedy nie ma dużo ludzi. Bo w niedziele to zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże mi takich wyprowadzić.

– Niebezpieczna ta pana praca?

– Trudno zliczyć, ile razy musiałem wzywać policję. I nie chodzi tu tylko o obrażanie uczuć. Jakiś czas temu facet wpadł do zakrystii i chciał się bić. A inny przyszedł z siekierą i wykrzykiwał, że wszystkich zabije.

Sąd Rejonowy w Bydgoszczy skazał za obrazę uczuć religijnych Łucjana Trzeciakowskiego na karę ośmiu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata i dozór kuratora sądowego. Ponad rok później, po tym jak doprowadził do obcowania płciowego i poddania się innej czynności seksualnej kobietę upośledzoną umysłowo, karę odwieszono.

UMYSŁY LUDZI

„Mam wrażenie, że w III RP postępuje powolne odejście od wartości, które uznaje zachodnia demokracja liberalna, to znaczy wolności słowa i wolności ekspresji artystycznej. Ta zmiana rodzi się jednak nie w systemie prawa, ale w umysłach i sercach ludzi".

Agnieszka Holland, reżyserka, w czasie debaty „Kultury Liberalnej", lipiec 2015

WIELKA KSIĘGA SIUSIAKÓW

Obrażeni: mieszkańcy Mikołowa

Na początku 2014 roku media donoszą, że posłanka Izabela Kloc, pedagożka, rocznik 1963, zażądała wszczęcia postępowania. Chodzi o obrazę uczuć religijnych w książkach do edukacji seksualnej pod

tytułami: *Wielka księga cipek*, *Wielka księga siusiaków* i *Duża księga o aborcji* (Wydawnictwo Czarna Owca).

Posłanka nie chce ze mną o tym rozmawiać, ale z akt sprawy w Prokuraturze Rejonowej w Mikołowie (udostępniono mi je bez prawa do używania danych osobowych) dowiaduję się, że:

Najpierw, w połowie 2013 roku, o przestępstwie zawiadamia prawniczka z Mikołowa, lat 55, pracująca jako doradczyni rodzinna. *Wielkiej księgi cipek* nie przeglądała, ale zawarte w niej ilustracje widziała w internecie.

„Są one obsceniczne, wulgarne, deprawujące. Noszą znamiona pornografii. Prócz demoralizujących treści rozpowszechniających praktyki homoseksualne rozwiązłość, patologiczny model rodziny, obraziły i zraziły nasze uczucia religijne".

Bojąc się, że jeden podpis może nie wystarczyć do wszczęcia procedury, prawniczka załącza autografy dziewięciorga innych mieszkańców Mikołowa, którzy – tak samo jak ona – choć książki nie widzieli, to poczuli się obrażeni.

Zeznają potem w prokuraturze:

M.R., lat 62, emerytka: „Ja nie znam dokładnie treści tej książki, wiem, że poświęcona jest masturbacji".

A.N., lat 61, emeryt: „[…] treści nie znam. Nie interesowała mnie ona, bo widać było, że jest antykościelna, a ja mam swoją wiarę i zasady".

J.T., lat 68, emerytka: „W książce zawarta jest treść typu, że Matka Boża molestuje małego Jezusa".

Z.K., lat 66, emerytka: „Moim zdaniem to prześladowanie Kościoła”.

A.Ż., lat 27, przedstawicielka handlowa: „Inna religia nie pozwoliłaby sobie na taką obrazę, więc dlaczego my – katolicy – mielibyśmy to robić?”.

J.S., lat 59, emeryt: „Jak ktoś nie wierzy, to niech tego nie robi, a nie pisze takie rzeczy”.

„W innym miejscu – zeznaje dalej doradczyni rodzinna, autorka zawiadomienia – Jezus jest przedstawiany nago na krzyżu, jako kobieta z narządami kobiecymi […]. Znieważanie, szydzenie z krzyża, z osoby Jezusa – to już nie tylko atak na przedmiot kultu osób wierzących, ale profanacja sacrum, zamach na istotę naszej wiary. Wydawanie i sprzedaż [takich] książek odbieram jako poniżanie i lżenie naszych uczuć religijnych. Tym bardziej że książki kierowane są do dzieci”.

Prokuratura najpierw umarza dochodzenie, stwierdzając, że rysunki nie są pornograficzne, a na okładce wcale nie było informacji, że książki są pomocą edukacyjną (więc ministerstwo edukacji nie musiało dawać na ich wydanie zezwolenia). W dodatku „obecne ustawodawstwo nie zabrania wywodów niezgodnych z panującą religią, byle tylko owe wywody nie stanowiły bluźnierstwa, czyli uwłaczania Bogu, Panu Jezusowi czy innym symbolom wiary”.

Potem jednak prokuratura uwzględnia zażalenie doradczyni rodzinnej. Poza tym osobne zawiadomienie w tej sprawie składa Izabela Kloc, posłanka Prawa i Sprawiedliwości z Mikołowa. Za najbardziej

bulwersujący uważa obrazek „wraz z tekstem, gdzie jest widoczny rysunek dziewczyny na bujanym koniu. Można to odczytać, że rysunek zachęca do zoofilii”.

Do swojego wniosku posłanka dołącza podpisy kolejnych trzydziestu dziewięciu mikołowian.

Trzydziestego czerwca 2014 roku Prokuratura Rejonowa w Mikołowie umorzyła dochodzenie, bo „sam wydawca w celu uniknięcia nieporozumień zawarł ostrzeżenie, że treści zawarte w książce mogą obrażać uczucia religijne, biorąc pod uwagę wrażliwość niektórych osób” i „należy też wskazać, że książka ta funkcjonuje kilka lat na rynku i dopiero teraz budzi emocje”.

Przy okazji śledczy ustalili, że część podpisów dołączonych do wniosku posłanki zostało podrobionych. Sprawcy podrobienia nie udało się ustalić.

JEDENASTE PRZYKAZANIE

Jerzy Urban w 2014 roku podczas procesu o zamieszczenie w tygodniu „Nie” zdziwionej twarzy Jezusa wkomponowanego w znak zakazu wyznał, że: „od trzeciego pokolenia jest ateistą i nie zna się na tajnikach religii. Gdyby uznać, że jako wydawca musi je znać, to jego zdaniem znaczyłoby, że ateista nie może wydawać w Polsce gazety”. Dodał: „O ile z pobożności Żydów zdarza nam się śmiać, to z muzułmanów śmiać się boję, bo oni zabijają. Gdyby katolicy w Polsce zabijali, to też bym ich nie ruszał, bo jestem tchórzem”[1]. Potem na swoim blogu zamieścił krótki film. Przebrany za Boga z imitacją tablicy z dziesięciorgiem przykazań w ręku mówi: „Aha,

Mojżeszu, jeszcze jedenaste przykazanie. Nie będziecie w tygodniku «Nie» drukować portretów mojego Syna”.

PROSTY PRZYRZĄD DO CZYNIENIA ZNAKU KRZYŻA

Obrażony: Hubert Mącik z Lublina, miejski konserwator zabytków

Prosty przyrząd do czynienia znaku krzyża artysty Tomasza Opani działa tak: prowadzisz suwak po stalowych rurkach, nie zastanawiasz się, w jakim celu, i dopiero pod koniec drogi suwaka zdajesz sobie sprawę, że wykonałeś znak krzyża. Artysta wyjaśnia dziennikarzom, że w jego pracach aktywność odbiorcy jest niezbędna: widz wykonuje pewną czynność i w ten sposób bierze udział w *performance*. Twierdzi, że jego dzieło mówi o hipokryzji, o mechanicznym traktowaniu praktyk religijnych i robieniu z nich produktu.

Kiedy Opania chce postawić przyrząd w kilku miejscach Lublina, tamtejszy wydział gospodarki komunalnej prosi o opinię miejskiego konserwatora zabytków. Opinia Huberta Mącika ma pięć stron i stwierdza, że z punktu widzenia prawa nie ma przeszkód do wystawienia przyrządu, ale jej autor „nie widzi konserwatorskiego uzasadnienia dla potrzeby usytuowania instalacji w proponowanych miejscach”.

W opinii daje przy okazji wykład, jak należy czynić znak krzyża, i przytacza słowa ewangelii:

„Na marginesie rozpatrywanej sprawy warto zauważyć, że w ciągu ponad dwóch tysięcy lat, od kiedy znak krzyża stał się znakiem rozpoznawanym,

a dla bardzo wielu znakiem o głębokim znaczeniu, nie zaistniała potrzeba, pomimo zapewne zróżnicowanych w sensie poprawności form odtwarzania tego znaku zarówno przez wierzących, jak i niewierzących, stworzenia mechanicznego urządzenia dla jego nauki czy doskonalenia. Wypada się zgodzić, że czynić znak krzyża należy odpowiedzialnie. Czyniąc znak krzyża, trzeba się starać, by był on świadomy, pełen Boga i pełen nas samych. Czy mechaniczne urządzenie prowadzi nas w tym kierunku, można powątpiewać. Proponowane urządzenie niewątpliwie ma coś z nowości (może nawet kontrowersyjnej), ale czy w istocie pozostaje w związku z sensem, o który chodzi w znaku krzyża? Nauka kreślenia krzyża odbywała się zawsze w kościele, w kościele rozumianym nie jako świątynia, ale jako wspólnota. Słowa z Ewangelii świętego Mateusza: «Gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w moje imię, tam jestem pośród nich» (18,20) jednoznacznie na to wskazują. Przekazywanie umiejętności czynienia znaku krzyża odbywało się więc w ramach wspólnoty, bez potrzeby pośrednictwa w postaci zmechanizowanych urządzeń. Nie idzie w nim (w znaku krzyża) o mechaniczne naśladownictwo. Pomiędzy urządzeniem a człowiekiem zachodzi inny rodzaj relacji aniżeli ten, który wynika z relacji ludzkich i obecności w niej istoty boskiej. Ze znakiem tym wiążą się również treści religijne. Weryfikacja zasadności i poprawności użycia tego znaku następuje w ramach wspólnoty. Nawet najlepiej technicznie (co ma zapewne zapewnić proponowane urządzenie) wykreślony znak krzyża nie gwarantuje wypełnienia sensu zawartego w tym znaku”.

W rozmowie z dziennikarzami konserwator Hubert Mącik zaznacza, że jego opinia nie ma charakteru formalnego i nie jest decyzją administracyjną. Dodaje, że: „Nie ma żadnego przepisu, który zabraniałby mi, jako doktorowi historii sztuki, dokonywać oceny dzieła sztuki, a jako człowiekowi dokonywać oceny moralnej podobnego działania".

Wydział Gospodarki Komunalnej nie godzi się na instalację przyrządu w Ogrodzie Saskim, powołując się na dobro zabytku i opierając właśnie na opinii Mącika.

Półtora roku później pytam konserwatora o przyrząd.

– Coś mnie w tym zniesmaczyło, przyznam. Może nawet nie sam przyrząd. Bardziej to, że czytając materiały na jego temat, odniosłem wrażenie, może niesłusznie, że celem jest prowokacja, a nie zadawanie pytań. I to jest w ogóle problem współczesnej sztuki. Jaka jest odpowiedzialność artysty działającego w przestrzeni publicznej? Na ile prowokacja dla prowokacji (zamiast zadania uniwersalnego pytania) jest uzasadniona? Czy jeżeli ktoś jest dyplomowanym artystą, to już wystarczy, by uznać jego wytwór za dzieło sztuki? Czy celem była szczera troska o wykonywanie symbolu religijnego? A ja uważam, że nie możemy przechodzić obojętnie obok znaczeń. Niezależnie, czy jest się chrześcijaninem, muzułmaninem, czy Żydem. Tu nie ma znaczenia, czy ja jestem katolikiem. Urzędnik jest urzędnikiem i wyznawana religia nie powinna wpływać na jego opinie. Mogłem przewidzieć, że to temat nieistotny z punktu widzenia konserwatora zabytków. Ale ja

uważam, że jako doktor historii sztuki powinienem zabrać głos. Nie sądziłem jednak, że dam się w ten sposób wciągnąć w spór. Poczułem się wykorzystany. A przecież ja w treści mojego pisma nie znajduję informacji, że ten przyrząd nie może stanąć.

Miesiąc wcześniej czy później jeden radny zaproponował, by usunąć z Lublina wszelkie tablice pamiątkowe z czasów komunizmu. Zaprotestowałem, że to ślady historii, że nie należy zapominać o naszych skomplikowanych dziejach, a raczej opatrywać takie tablice komentarzem. I tym razem natychmiast obwołany zostałem niesłusznie obrońcą komunizmu.

W Lublinie stanąć miały cztery przyrządy do czynienia znaku krzyża. Stanął tylko jeden: przed Centrum Kultury w Lublinie. Zgodę na jego postawienie wydała administracja budynku.

AUTOCENZURA

„Powinniśmy nauczyć się odróżniać te dwie rzeczy – wolność wypowiedzi od obrazy. Nie wolno obwiniać kogoś za wyrażanie przekonań tylko dlatego, że ktoś inny uznał je za obraźliwe. Należy zadeklarować, że będziemy bronić wolności wypowiedzi każdego niezależnie od jego zapatrywań politycznych. I nie ma znaczenia, czy te przekonania nam się podobają, czy nie, czy wyrażane są w formie powieści, rysunków jak w «Charlie Hebdo», czy sztuki – jak w przypadku spektaklu Golgota Picnic. Tymczasem obecnie sami zaczynamy podważać kluczowe pojęcia leżące u podstaw wolności i swobody wypowiedzi, bo inni mogą uznać nasze poglądy za obraźliwe”.

Rashad Ali, dyrektor CENTRI, organizacji zajmującej się doradztwem w kwestiach związanych z działalnością antyekstremistyczną, w czasie debaty „Kultury Liberalnej”, lipiec 2015

ZESZYT ZNALEZIONY W GARAŻU

Obrażony: Arkadiusz Kordek z Opola, były pracownik aresztu

Rysunki są sto dwadzieścia dwa. Prokuraturze dostarcza je na płycie Arkadiusz Kordek, lat 48, emerytowany kierownik działu penitencjarnego Aresztu Śledczego w Opolu.

W katalogu zatytułowanym *Grafiki dyrektora Zakładu Karnego Opole* znajdują się dziewięćdziesiąt cztery pliki.

Na rysunku numer 14: mężczyzna z penisem we wzwodzie długości stu dwóch centymetrów i podpisem „Janek i jego Rudy 102”.

Na rysunku numer 49: mężczyzna dźwigający monstrualnych rozmiarów jądra i podpis „Transport broni jądrowej”.

Na rysunku numer 84: kowboj uzbrojony w penisy zamiast pistoletów.

Drugi katalog ma tytuł *KL* (Konzentrationslager) i zawiera czternaście plików.

Na rysunku KL 1: z komina wydobywa się dym tworzący na niebie napis WESOŁYCH ŚWIĄT. I podpis: „Święta w Birkenau”.

Na rysunku 11: onanizująca się przed hitlerowcem kobieta i podpis „Ruch oporu”.

Trzeci katalog nosi nazwę *Religia* i też mieści czternaście skanów.

Na rysunku numer 1: „Z cyklu Biblia na nowo odczytana” – penis zwija się wokół drzewa niczym wąż, a sperma wytryskuje z niego wprost do ust stojącej pod drzewem nagiej kobiety. I podpis: „Kuszenie Ewy”.

Na rysunku numer 11: z konfesjonału wystaje penis, co dwie stojące obok panie komentują: „To ten nowy wikary”.

Arkadiusz Kordek wyjaśnia, że na początku sierpnia 2012 roku przeglądał w swoim garażu papiery, które zabrał po zakończeniu pracy w areszcie. „Wśród tych materiałów znajdował się zeszyt wraz z rysunkami oraz tekstami, które zostały wykonane przez funkcjonariusza publicznego, obecnego dyrektora Zakładu Karnego w Opolu”.

W zeszycie Kordek znajduje swój studencki pseudonim „Jalu”, a także nazwiska: obecnej nauczycielki w szkole numer 21, profesora i doktora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego, a także pseudonim radnego Platformy Obywatelskiej.

„Skoro dowody te znalazły się u mnie w garażu, wśród moich materiałów, w czasie, w którym nie byłem w służbie, to najprawdopodobniej dostęp do nich miały osoba lub osoby trzecie. Uważam, że charakter pisma osoby, która stworzyła te dowody, jak i specyficzny charakter rysunków tej osoby wskazują w sposób jednoznaczny na jej autora, czyli pana [tu

pada nazwisko dyrektora]. Przekonanie moje bierze się stąd, że w 2005 roku pan [znów nazwisko dyrektora] zajął drugie miejsce wśród funkcjonariuszy i pracowników Służby Więziennej w konkursie «Satyra poza krawędzią», gdzie wykonane przez niego inne rysunki są charakterystycznymi dla wniesionych dowodów oraz ich autora […]. Zarówno zawarte we wniesionych dowodach teksty dotyczące mojej osoby, jak i symboli religijnych – krzyża i Jezusa Chrystusa – w mojej ocenie wskazują, że mogło dojść nie tylko do obrazy moich uczuć religijnych, lecz także być może także do obrazy uczuć religijnych innych osób".

W toku śledztwa dyrektor więzienia w Opolu przyznaje się do wykonania zaledwie kilku rysunków (między innymi orła rozmawiającego z niemiecką wroną). Śledczym opowiada, że rysunki pochodzą z połowy lat osiemdziesiątych, powstawały na zajęciach wojskowych, na trzecim lub czwartym roku filologii polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. „Prowadziliśmy kilka zeszytów. Zabawa polegała na tym, że podczas mniej interesujących zajęć ktoś wyciągnął zeszyt i coś narysował, następnie podał dalej. Każdy z nas coś dorysowywał. Po tym, jak skończył się jeden zeszyt, zaczynaliśmy następny".

Arkadiusz Kordek studiował na tym samym roku. Jak pamięta dyrektor więzienia, w czasie kiedy powstawały rysunki, przebywał jednak na urlopie dziekańskim.

„Nie mogłem mieć na celu obrazy uczuć religijnych Arkadiusza Kordka, ponieważ nie było go w czasie tworzenia tych rysunków".

Dodał też, że jego podwładny „zwolnił się ze Służby Więziennej wiosną 2009 roku w atmosferze skandalu", po tym jak jedna z funkcjonariuszek oskarżyła go o molestowanie.

Prokuratura Rejonowa w Kluczborku umorzyła dochodzenie. Stwierdziła, że „[…] rysunki te (w części wykonane przez dyrektora) nie były nigdy publikowane przez niego, powielane, ujawniane". Dyrektor z Opola został jednak przez władze Służby Więziennej odwołany z funkcji.

WARA OD WIARY!

W 2012 roku Ruch Palikota zaproponował wykreślenie z Kodeksu karnego artykułu 196. Sejm odrzucił ten projekt. Przeciw wykreśleniu było 389 posłów Platformy Obywatelskiej, Polskiego Stronnictwa Ludowego, Prawa i Sprawiedliwości, Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Solidarnej Polski. „Wara wam od mojej wiary" – komentował poseł SLD Romuald Ajchler.

MODLITWA PRZED MATEMATYKĄ

Obrażony: Karol Jabłoński z Golasowic

Modlitwa w szkole w liczących półtora tysiąca mieszkańców Golasowicach jest krótka i brzmi tak:

Duchu Święty,

który oświecasz serca i umysły nasze,

dodaj nam ochoty i zdolności,

aby ta nauka była dla nas

z pożytkiem doczesnym i wiecznym.

Karol Jabłoński, lat 45, sztygar w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, poskarżył się na nią Kuratorium Oświaty w Katowicach. A było tak:

– Żona jest katoliczką, praktykującą, chociaż ostatnio coraz mniej. Syn do niedawna był ministrantem. Przestał nim być, gdy proboszcz zaczął nas wytykać z ambony. Teraz jak idzie do kościoła, to w innej gminie. A ja jestem ateistą. Do Golasowic przeprowadziliśmy się jakiś czas temu, kupiliśmy działkę, wybudowaliśmy tu dom. Wieś jest mała, szybko się rozniosło, że nie chodzę do kościoła. Z początku śmialiśmy się z tego. Dyrektorka, kiedy widziała żonę pod kościołem, wskakiwała do jej samochodu, chwytała za rękę i zapewniała, że codziennie rano modli się za moje nawrócenie. O modlitwie na matematyce usłyszeliśmy gdzieś przypadkowo, ale nie chciało nam się w to wierzyć.

Przestało być śmiesznie, gdy przez telefon rozmawiałem z dyrektorką o przemocy w szkole. Przemoc z pewnością jest, niedawno podczas kontroli stwierdziło ją kuratorium i wystawiło szkole najniższą możliwą ocenę. Zwracam się do dyrektorki, przecież ona jest biologiem, uczy przyrody, doskonale powinna rozumieć, że na korytarzach szkolnych często liczy się prawo silniejszego, i umieć rozwiązywać takie problemy. A ona mi na to: „Czekam na śmierć jak na randkę z ukochanym". Myślałem, że zwariowała. Kilka dni później obdzwoniłem innych rodziców i przekonałem się, że modlitwa na matematyce jest naprawdę. Na stojąco. Syn to potwierdził, jakby nigdy nic, jakby to była część rachunków.

Modlitwę w szkole w Golasowicach odmawia się już od dwudziestu pięciu lat. Nie tylko przed matematyką, ale codziennie, przed rozpoczęciem zajęć. Została nawet uzgodniona z ewangelickim pastorem (bo jedna trzecia Golasowic to protestanci) i – jak twierdzi dyrektorka – nie są jej przeciwni także świadkowie Jehowy. A niewierzących dzieci w Golasowicach zdaniem dyrektorki nie ma wcale.

– A ja uważam, że to pranie mózgów małym dzieciom – oburza się Jabłoński. – Przez takie szkoły mamy teraz w Polsce to, co mamy. Modlenie się na religii rozumiem, ale na innych lekcjach to już przekroczenie granic. Katolik, nie katolik, wszyscy uczniowie muszą wstać i modlić się do Ducha Świętego. Rodzice nigdy nie protestowali, bo wolą się nie wychylać. Jak zawiadomiłem o tym kuratorium, to ksiądz z ambony opowiadał, że jestem arogancki i zły. Dzieci w szkole w obecności syna skandowały: „Jabłoński musi odejść", „Jabłoński, wypierdalaj". Szkoła ma tylko stu dwudziestu dwóch uczniów, siedemnastu nauczycieli. Atmosfera powinna być rodzinna. A tam stworzono obóz pracy, dzieciom daje się punkty karne, terror!

Odsądzano mnie od czci w Radiu Maryja. Musiałem monitoring założyć, bo nasz dom obrzucają jajkami, podrzucają różne rzeczy. Sąsiad opowiada, że żałuje, iż sprzedał mi ziemię.

Jak już brakowało argumentów, dyrektorka wytoczyła naszemu synowi sprawę w sądzie, zarzucając demoralizację. Sprawę sąd oczywiście umorzył, a nauczyciele w nowej szkole chwalą syna i zapewniają, że nie ma z nim żadnych problemów.

Tak, obrażono moje uczucia. Bo każdy może się modlić. Ale na lekcjach matematyki? W świeckiej szkole? Po co dzieciakom prać mózgi? Po co iść jeszcze krok, dwa dalej, skoro już w szkole prowadzone są lekcje religii? Żeby później wychowankowie takich szkół obrzucali jajkami domy ludzi inaczej od nich myślących?

Społeczeństwo i tak już się za bardzo zradykalizowało. Niektórych znam od dwudziestu, trzydziestu lat i dopiero teraz, widząc, jaką nienawiścią zieją na fejsbuku, poznaję ich naprawdę.

Kuratorium nie zabroniło odmawiania modlitwy w szkole w Golasowicach. Pod warunkiem że będzie się to odbywać przed lekcjami. Teraz uczniowie modlą się do Ducha Świętego o godzinie 7.59.

NIEWIERZĄCY NIE MAJĄ UCZUĆ RELIGIJNYCH

Jesienią 2015 roku Trybunał Konstytucyjny, odpowiadając na skargę prawników Dody, uznał, że artykuł 196 Kodeksu karnego to ingerencja w wolność słowa, ale uprawniona. Nie narusza bowiem istoty wolności słowa i debaty publicznej, bo ta nie polega na obrażaniu czy okazywaniu pogardy. Można negować istnienie Boga, byle nie w sposób znieważający. Trybunał nie zgodził się z zarzutem, że przepis dyskryminuje niewierzących. W końcu dotyczy tylko uczuć religijnych, których przecież niewierzący nie mają.

CHRYSTUS SZALIKOWIEC

Obrażony: ksiądz Sławomir Zapłacki ze Świebodzina

W zimowy deszczowy dzień, gdy zajeżdżam do Świebodzina, Jezus Chrystus Król Wszechświata jest szary, jak szare bywa grudniowe niebo.

Ale w tamtą, choć mglistą noc barw dodaje mu żółto-biało-zielony szalik Falubazu Zielona Góra.

Jest 1 października 2011 roku, noc poprzedzająca finał żużlowej ligi. Szalik ma czterdzieści metrów długości, cztery metry szerokości i waży pięćdziesiąt kilogramów. Podobno uszyło go kółko gospodyń, a ściągać z Chrystusa będzie straż pożarna.

W sobotę około godziny dwudziestej trzeciej Zbigniew G., stróż pilnujący budowy, na której stoi figura, po wypiciu pół litra wódki Soplica (nazajutrz o godzinie dwunastej trzydzieści badanie alkoholu w wydychanym powietrzu wykaże 0,88 mg/dm^3), jak sam potem stwierdzi – niespodziewanie zasypia (obudzi się dopiero rano), a nieznani mu (choć to z nimi spożywał wódkę, rozmawiając o rzeźbach) sprawcy w wieku dwudziestu–dwudziestu pięciu lat włamują się do pomnika, wdrapują na głowę Chrystusa i wieszają szal.

– Pięknie wykonany, równo zszyty, misterna robota – powie potem dziennikarzom jeden z prokuratorów.

Prokuraturę zawiadamia Sławomir Zapłacki, emerytowany ksiądz z parafii Miłosierdzia Bożego w Świebodzinie. To on był pomysłodawcą budowy pomnika. Chciał, by przypominał pomnik Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro. Miliony złotych na jego wybudowanie uzbierali parafianie, amerykańska

Polonia i lokalni przedsiębiorcy. Żelbetowa rzeźba Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata ma trzydzieści trzy metry wysokości, jego pozłacana korona – dodatkowe trzy metry, całość o kilka metrów przewyższa pomnik z Rio i jest najwyższą rzeźbą przedstawiającą Chrystusa na świecie.

Podobnie jak największy, w końcu dostał się do finału ligi – myśleli pewnie pomysłodawcy zawieszenia szalika – jest ich klub.

Ksiądz wnosi o ściganie i skazanie sprawców czynu, nie tylko dlatego że uszkodzili drzwi wejściowe do figury pomnika Chrystusa (szkoda: tysiąc złotych), lecz także bo „czyn powieszenia szala obraża uczucia religijne wierzących".

„Gazeta Wyborcza" donosi: „Chrystus z szalikiem chodził kibicom po głowie już wcześniej. Nieraz rozpoznawali teren. Planowali zarzucić szalik z dźwigu albo przeciągnąć linkę nad głową Jezusa zdalnie sterowanym samolocikiem, a potem wciągnąć szal jak żagiel na maszt. Wybrali jednak przyziemny koncept"[2].

Tamtej nocy kibice fotografują szarego Chrystusa w kolorowym szaliku Falubazu i wysyłają sobie zdjęcia z życzeniem: „Niech Pan tego dnia prowadzi nas do zwycięstwa". Falubaz wygrywa 52:38 z Unią Leszno i zdobywa mistrzostwo Polski.

Stowarzyszenie kibiców twierdzi, że fani Falubazu nie chcieli nikogo obrazić, i wpłacają parafii tysiąc złotych.

Prokuratura postanawia zniszczyć dowód rzeczowy. Walczą o niego kibice (chcą go zlicytować, a pieniądze

przeznaczyć na leczenie chorego kolegi), chce go nawet Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie (na wystawę poświęconą przejawom narodowego i lokalnego patriotyzmu). W obronie szalika staje Robert Dowhan, senator PO i prezes Falubazu – proponuje, by pieniądze z jego sprzedaży przeznaczyć na zbożny cel. Mówi, że na szaliku nie było żadnych haseł, które mogłyby wprawić choćby w zakłopotanie, a na mecze Falubazu przychodzą księża w klubowych szalikach i nikogo to nie obraża.

Przeciwny jest Władysław Komarnicki, prezes konkurencyjnej Stali Gorzów. Grzmi, że szalik należy spalić, bo jest dowodem profanacji.

W kwietniu 2012 roku wobec niewykrycia sprawców Prokuratura Rejonowa w Świebodzinie umorzyła sprawę obrazy uczuć religijnych, ale „mając na uwadze fakt, iż przedmiotowy szalik służył do popełnienia przestępstwa z artykułu 196 Kodeksu karnego", zdecydowała, iż dowód należy przechować w depozycie do momentu przedawnienia karalności czynu.

Ksiądz Sławomir Zapłacki zmarł w 2014 roku, w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Jego serce, zgodnie z ostatnią wolą, spoczęło pod figurą Chrystusa.

O film, panie ministrze,
Obrazili się wachmistrze;
O wiersz, panie generale,
Obrazili się kaprale;
O artykuł w tygodniku –
Ordynansi, panie pułkowniku;
O piosenkę, panie majorze,
Żony sierżantów w Samborze;

W radio była audycja:
Obraziła się policja.
Dalej – studenci
Są do żywego dotknięci;
Dalej, księża z Płockiego
Dotknięci są do żywego.
Następnie szewcy w Kutnie
Obrazili się okrutnie.
Następnie – związek akuszerek
Ma ciężkich zarzutów szereg:
Że to swawolność, frywolność,
Bezczelność, moralna trucizna,
Że w ten sposób ginie ojczyzna!…
…A poza tym – jest w Polsce
wolność.

Julian Tuwim, *Raport*

Imiona i nazwiska niektórych bohaterów zmieniłem.

---

[1] Mariusz Jałoszewski, *Jeśli Jezus, to tylko na poważnie*, „Gazeta Wyborcza”, 29 maja 2014.

[2] Maja Sałwacka, *Gra o szal*, „Gazeta Wyborcza” z 16 marca 2012.

MAŁGORZATA REJMER

POWIETRZE TU MOKRE

MUR

Za górami, za lasami, niedaleko Dużego Miasta, ale i niezbyt blisko, leży Miasteczko. Jeżeli wychowaliście się w Miasteczku, a potem rozpoczęliście życie w Dużym Mieście, pamięć o Miasteczku wraca do was w chwilach bezczynności. Gdy czekacie na spóźniający się autobus. Gdy przechodzicie obok witryny podupadłego sklepu. Gdy sąsiadka z dołu zagada w nieznaczącej sprawie, niecierpiącej zwłoki.

Kiedy wracacie do Miasteczka, macie wrażenie, że nabrało ciała. Było chudym, podstarzałym, szykującym się do trumny wujkiem, ale teraz, po liftingu na koszt Unii Europejskiej, wypełniło ubytki i odmłodniało. Rozrosła się dzielnica za cmentarzem, przybyło na niej luksusowych domów. Po Miasteczku stąpacie suchą stopą, dziwiąc się, że zniknęło błocko. Chodniki to już nie tylko prowincjonalna kostka Bauma, lecz także kostka szlachetna, ozdobna, postarzona i odmłodzona. Za ratuszem powstało New Gate, ogrodzone osiedle, do którego prowadzi brama z piaskowca udająca Łuk Triumfalny. Wprawdzie ci, którzy przechodzą przez łuk, widzą obłupane cegły kamienicy obok, ale w Miasteczku luksus jest sąsiadem slumsów.

– Miasto się zmienia – podkreśla Burmistrz; głos ma spokojny, spojrzenie melancholijne. Nie uśmiecha się, ale też nie tworzy dystansu. Jego sekretarka przynosi zieloną herbatę. Na wszystkich półkach dyplomy i puchary.

(W Miasteczku znajduje się nawet sklep z pucharami, dyplomami i medalami, pucharów jest

kilkadziesiąt modeli, można odnieść wrażenie, że dla mieszkańca puchar to towar pierwszej potrzeby).

– Bezrobocie poniżej średniej – kontynuuje Burmistrz. – Przybyło nowych sklepów, będą nowe inwestycje. Rolnicy dostają dopłaty unijne. Badań stosownych nie było, ale mam wrażenie, że w Miasteczku jest bardzo wysoki poziom zaufania społecznego.

Miasteczko ma stronę internetową, a także forum, na którym mieszkańcy komentują sprawy bieżące i dzielą się refleksjami.

Pisze „Lutek": „Nami to rządzą restortowe dzieci, towarzysze Bolkowie i innej maści sort".

„Zeki" stwierdza: „Drepczemy w miejscu, miotamy się po omacku i brak nam pomysłu, co dalej. A czas leci i odstajemy coraz bardziej od okolicy".

„Optymista" dodaje: „Tu nic nie ma i nic nie działa jak należy".

A „Sprawiedliwy" podsumowuje: „Patologiczne miasto w pełni tego słowa znaczenia, downy, narkomany, kazachy, Syryjczycy!!".

Mieszkańcy zostawiają też przemyślenia na murach: JEBAĆ POLICJĘ i ALLACH CWEL.

Bo prawie dziesięć kilometrów od Miasteczka znajduje się jeden z jedenastu polskich ośrodków dla uchodźców. Ze wszystkich stron otoczony Lasem. Żeby tam dotrzeć, trzeba przejechać miasto i zakorkowane rondo, skręcić w prawo, do lasu, a potem jechać jeszcze kilka kilometrów drogą pełną szczerb i wybojów. Minąć nieduże osiedle po prawej stronie –

dwa niskie bloki, ławeczki, huśtawka. I oto jest ośrodek, a właściwie zielone ogrodzenie podobne do muru, odgradzające szczelnie to, co wewnątrz, od tego, co na zewnątrz. Wysoka brama, kamera, na straży struty, szpakowaty portier. Kiedy zajeżdża jakiś samochód, mężczyzna z trudem ukrywa nerwowość. Jakby strzegł podrzędnego ośrodka wypoczynkowego dla trudnych wczasowiczów. Albo poprawczaka dla dorosłych dzieci.

DZICZ

Ośrodek działa od kilkunastu lat i przez ten czas budził emocje głównie wśród mieszkańców pobliskiego osiedla. Dopiero latem 2015 roku, gdy media zalały informacje o fali uchodźców z Syrii, mieszkańcy Miasteczka zaczęli się burzyć. Lokalne forum zawrzało, rodzice z pobliskiej szkoły wielokulturowej stwierdzili, że tak dalej być nie może, i utworzyli koalicję przeciwko dyrektorce.

Z forum: „Bardzo współczuję dzieciom, które muszą chodzić do szkoły z uchodźcami. Nic przyjemnego. Dlatego manifestujmy i działajmy, żeby kolejni pseudoimigranci nie trafili do naszej gminy, bo będzie jeszcze gorzej”.

I tak Miasteczko stało się polem bitwy na słowa, w której podnosi się krzyki, pisze apele na forum, zbiera podpisy. Kilka zaniepokojonych sytuacją rodzin utworzyło stowarzyszenie „Polska Historia i Chwała”, jedna z założycielek powiedziała, że marzy jej się zlikwidowanie ośrodka. Protest przeciwko kolejnym uchodźcom zgromadził na rynku Miasteczka sześćset osób. Część dzierżyła transparenty: DZISIAJ

IMIGRANCI, JUTRO TERRORYŚCI, część krzyczała: „Nie islamska, nie laicka, tylko Polska katolicka”.

Po jednej stronie znaleźli się uchodźcy z Czeczenii, Kirgistanu, Dagestanu, Inguszetii.

Po drugiej – ci, którzy nie zgadzają się na ich obecność. Podkreślają, że tamci to żadni uchodźcy, tylko imigranci ekonomiczni (na forum precyzują: „Muzułmańska dzicz. W Czeczenii nie ma już żadnej wojny. Przyjeżdżają do Polski nas doić!”).

Między dwiema stronami robią szpagat pracownicy ośrodka dla uchodźców i dyrektorka szkoły wielokulturowej. A także ci, którzy pracują z uchodźcami i próbują choć trochę zintegrować dwa światy.

Między nimi są także ci, którzy nie zabierają głosu. Milcząca większość.

I jeszcze ktoś.

W samym centrum Miasteczka, tam gdzie kostka brukowa jest odmłodzona, to znaczy postarzona i szlachetna, dwa lata temu otworzył swoje podwoje Kebabik u Jasarka. Jego właściciel jest Syryjczykiem; *Jasar* to po arabsku „spokój”, „bogactwo”. Jak się okaże, jest on także jedyną osobą, która nie oczekuje, by zmieniać jej imię i nazwisko.

Wszyscy inni zastrzegają anonimowość. Albo odmawiają rozmowy, jak dyrektor ośrodka (który mógłby porozmawiać, gdyby zgodził się na to Urząd do spraw Cudzoziemców – ale mija tydzień, a odpowiedzi nie ma). W środku wywiadu słyszę: „Wyłączy pani dyktafon i sobie porozmawiamy”. Nawet Czeczenki

proszą, żebym zmieniła ich imiona. Po kolei wymyślają nowe: Elina, Elza, Mali.

GŁÓD

Z Irenką, która mieszka na osiedlu koło ośrodka, spotykam się w kawiarni Strefa Kultury. Z Jasarem umawiam się tego samego dnia w jego Kebabiku.

Irenka przychodzi w nastroju bojowym. Na kartce ma kilkanaście punktów-zarzutów wobec uchodźców, obok których mieszka od jedenastu lat – i aż nie może uwierzyć, że to już tyle czasu minęło.

– Wie pani, jakie jest Miasteczko – zaczyna Irena, modnie ostrzyżona, żywiołowa, jakby co chwila buchał wulkan. – Na jednym końcu człowiek pierdnie, to na drugim wszyscy debatują, jak narobił w gacie. Z ośrodkiem też na początku były plotki, ale nikt nas o nic nie pytał, nikt z nami nic nie konsultował. Powiedzieli: będzie ośrodek i już. W środku lasu! Na takim zadupiu! Jak tam człowiek bez samochodu nic nie może, a autobus jeździ trzy razy na dzień!

Jasar jest okrągły i nieduży, uśmiecha się od ucha do ucha. Siedem lat temu przyjechał z Syrii do Dużego Miasta, potem kolega namówił go, żeby otworzył w Miasteczku kebab.

– Jestem z Aleppo – zaczyna. – Tutaj powietrze mokre, tam suche. Tu zimno, tam gorąco. Tu ulica pachnie samochodem, a tam trawą, ziemią, drzewem. Wychodzisz przed dom i czujesz, jak oddycha twoje miasto. Bierzesz oddech i od razu tak ooo… wzdychasz. A teraz wszystko zgruzowane. Połowy miasta nie ma.

– Na początku było najgorzej – wspomina Irena. – Najpierw nie wiedzieli, co jest grane, przyjechali po tej wojnie skołowani, rozbici, ale po roku–dwóch już się rozbisurmanili. Kiedyś było pełno dziadostwa, małolactwa, cwaniaków, zdarzało się, że kradli. Koleżanka zostawiła plastikowy rowerek córeczki przed klatką. Patrzę, gluty takie go podprowadzają. Biegnę, mówię do koleżanki: „Czeczeni zarąbali ci rowerek!”. Ona leci po ten rower, to jej nie wpuścili na ośrodek. Ale w końcu ochroniarz poszedł do nich i oddali od razu.

Mieszkańcy Miasteczka często piszą na forum, że Czeczeni dopuszczają się kradzieży.

Donosi Rupert: „Przed chwilą dzieci obcej nacji ukradli pani zakupy, w chwili kiedy się zorientowała, serki już pałaszowali. Głód wiele tłumaczy, ale może to przerodzić się w plagę”.

Pod wpisem Ruperta odzywa się Gerwazy: „To ksiądz każe bliźniego miłować (nie wspomnę o biskupach i jeszcze wyżej), a wy co? A jak was święty Piotr zapyta, czyście głodnego nakarmili a bezdomnego w dom przyjęli, to odpowiecie?”.

Tymczasem Jasar w Kebabiku:

– Nie spotkało mnie w Polsce nic złego. To znaczy czasem przyjdzie ktoś pijany, woła, żeby dać mu jeść za darmo. Daję wtedy pitę i mówię: masz, ale na wynos. Jak ktoś krzyczy „kurwa”, pokazuję na uszy i mówię: nie rozumiem. Ludzie czasami myślą, że jestem Cygan. Kupiłem mieszkanie na osiedlu, na klatce schodowej stała kanapa, pytam sąsiadkę, czemu

ta kanapa tu stoi, a ona: „Kanapę byś chciał, Cyganie, złodzieju?”.

Irena:

– Jeden Polak myślał, że mu Czeczen ukradł rower. Więc ten Polak skrzyknął kolegów, spuścili łomot Czeczenowi, ale nie temu, tylko innemu. No i cała grupa Czeczenów się zebrała, w klapeczkach, hyc przez mur i latają po osiedlu, szukają Polaków, co pobili ich Czeczena… Ale nikogo nie znaleźli i wrócili do ośrodka. Nikogo nie pobili, ale jakby pobili, toby zabili!

– Nie boję się Polaków – zapewnia Jasar. – Ale była w Miasteczku manifestacja przeciwko cudzoziemcom, widziałem… No, przykro. Jakieś sześćset osób protestowało, ale potem kilku przyszło do mnie jeść. Jedli, śmiali się. Też się śmiałem. Ja nie rzucam złych spojrzeń, uśmiecham się i dlatego ludzie uśmiechają się do mnie. Jaki jesteś dla ludzi, tacy oni są dla ciebie. Wszędzie tak jest. Uśmiechasz się do ludzi, to nikt ci nie zrobi krzywdy.

Irena wzdycha:

– Są ludzie i ludziska, tam i u nas też. Moja Marysia chodziła do szkoły z jedną dziewczynką, Elzą, która była najlepsza w klasie. I ja tej Elzie załatwiłam sukienkę na jasełka… Islam to ciężka religia, ale rodzice pozwolili jej przyjść. Elza bawiła się u mnie w domu z dziewczynkami, chociaż jej mama bała się ją puszczać do nas. Przyprowadzała ją do muru, do dziury, a ja już czekałam po drugiej stronie i uspokajałam: nic się nie stanie, zaprowadzę Elzę z powrotem. Bo się ta matka bała, że Polacy jej

wtłuką. Czyli i na odwrót to działało, oni też się nas bali…

GRUZ

Jasar pokazuje w telefonie zdjęcia swoich dzieci: dwie dziewczynki i chłopiec w centrum handlowym, na zakupach, w Kebabiku.

– Dzieci mówią po polsku lepiej ode mnie – śmieje się. – Ja powoli zapominam arabski. Żona pojechała raz na miesiąc do rodziny do Stambułu, dzwoniła, że zmieni bilet, bo tak już by chciała do Polski. Mówiła: w Stambule wszędzie ludzie, huk, a w Polsce spokój. Mamy tu w Polsce przyjaciół, nie za dużo, ale mamy.

Irena:

– Było i tak, że przybiegały czeczeńskie dzieci do polskich i się bawiły razem, a to w robota, a to w coś. Ale zazwyczaj Czeczeni zaczynają. Siadają na murku, patrzą: nasi grają w nogę. Więc ci Czeczeni rzucą patykiem, kamyczkiem… A nuż Polacy powiedzą: „Chodźcie do nas, pogramy razem”. Ale jak oni rzucają, to nasi też rzucają. Zaraz na ścieżce się robi pełno patyków i gałęzi, i nieźle można oberwać.

Jasar:

– Nikt tu nie chce przyjeżdżać do Polski, bo ciężko. Ciężko Polakom i obcokrajowcom. Pracowałem na kuchni od rana do nocy, dopiero po roku otworzyłem pierwszy kebab. Polska nic nie ma. Wszędzie w Europie Zachodniej uchodźca dostaje czterysta euro, tutaj trzysta pięćdziesiąt złotych miesięcznie, nie da się z tego żyć. Można pracować na czarno, ale co z tego masz? Trzęsiecie się, że uchodźcy, ale każdy, kto ma

coś w głowie, omija Polskę. A jak tu już trafi, to robi wszystko, żeby iść dalej. W Aleppo, nawet jak mało miałeś, to wszyscy ci pomagali, wspierali się. W Polsce, jak chcesz komuś pomóc, to ludzie patrzą na ciebie z miną „czego tak naprawdę chcesz?”.

Irena:

– Czeczeni chodzą w nocy po osiedlu, zdaje się, że od Polaków kupują narkotyki. Bo u nas na osiedlu jest dilerka i wszystko… Hania Milewska miałaby dzisiaj trzydzieści dwa lata, ale się powiesiła… Chodziła po osiedlu, daj grosza na papierosy, daj pięćdziesiąt groszy… Mówiliśmy: nie będziemy ci dawać gwoździ do trumny. Okradła matkę, babcię, prostytuowała się, wszystko, żeby mieć na narkotyki. Poszła do więzienia za kradzież, wybili jej dwa zęby. Jak wróciła z więzienia, to błagała ludzi, żeby jej ktoś na odwyk pomógł iść. I przyszła raz wichura, sosnę złamała i gałąź wisiała nisko, przy samej ziemi… Weszła Hania na sosnę, zawiązała pasek i skoczyła… I to wyglądało tak, jakby stała, w czapce z daszkiem, w czarnym podkoszulku, i ślina jej kapała z ust… Po prostu się udusiła. W ośrodku też się niedawno Czeczen zabił, podobno na depresję chorował, dopiero co z psychiatryka wyszedł. Wrócił do ośrodka, posiedział trochę, aż jednej nocy, jak wszyscy spali, poszedł do łazienki, zostawił buty przed wejściem, na beton skoczył.

Irena zamyśla się, kręci głową.

– No, tak, u nas lekko nigdy nie było, to jeszcze nam Czeczeńców dołożyli. Raz nasza polska młodzież zrobiła sobie na osiedlu kącik do chlania, ustawili

ławeczki w półkole, tuje posadzili, nawet Czeczenom pozwalali tam przychodzić. I to wszystko rozpieprzył jeden debil, podpalił te ławeczki i zniszczył cały kącik.

Jasar:

– Aleppo to było bardzo tolerancyjne miasto, pięć religii obok siebie żyło, mieszkali ludzie razem, świętowali razem. Tęsknię czasem, jak śpiewa muezzin. Ale Polska jest krajem katolickim, dla was śpiew muezzina to nie jest takie piękne. Dla was to śpiew wariatów, którzy chcą krwi. Zabiłem raz samochodem psa, mignął mi przed światłami, nie zdążyłem nic… I ciągle o tym myślałem. Nawet we śnie przyszedł do mnie pies. A oni w Aleppo zabijają ludzi i się cieszą.

Irena:

– W tej chwili naprawdę mi nie przeszkadzają, bo nic złego nie robią. Nawet wręcz przeciwnie, przechodzę, a oni „dzień dobry" mówią. Ale skoro w Czeczenii nie ma wojny, to po co oni tu jeszcze przyjeżdżają?

Jasar prowadzi mnie do ściany z fotografiami jego rodzinnego miasta. Pokazuje: kościół katolicki naprzeciwko meczetu, stary bazar, tak stary jak ten w Stambule. Wszystko można było kupić, i mydło, i umywalkę, i serwetę, i stół. Oblali to benzyną, buchnął ogień, dwadzieścia minut… Nic nie zostało.

– Ciężko mi oglądać w telewizji te gruzy – mówi Jasar, patrząc na fotografie. – Ale moje dzieci nie znają wojny. Mieszkają pode mną tacy starsi państwo, Darek i Iza, tak się z nami polubili, że moje dzieci mówią do nich „babciu" i „dziadku", bawią się z ich

psem. Nie mogę narzekać na Polskę. Ale czuję się tu jak gość, serce zostawiłem w Syrii. Wrócę tam, jak się wojna skończy.

HONOR

Dyrektorka szkoły wielokulturowej Maria Jarska jest zadbaną, niedużą kobietą; jaskrawożółty golf dodaje energii jej zmęczonym oczom. Spoglądam na nią: precyzja, konkret i żadnych zbędnych emocji, żadnego roztkliwiania się, ani nad sobą, ani nad innymi. Sporo już o niej słyszałam od mieszkańców Miasteczka: „Zbiera joby po równo od jednych i drugich". „Nikt nie ma takiej wiedzy jak ona". „Każdy na jej miejscu by się dziesięć razy załamał".

Ale na stronie internetowej miasta głosy pod adresem szkoły są bardziej krytyczne:

„Zatroskana": „To, co się dzieje z powodu czeczeńskich uczniów, to tragedia dla wszystkich, nasze państwo nie radzi sobie z problemem. Dzieci mieszkają w Polsce kilka lat i nie umieją języka polskiego!".

„Suseł" sugeruje: „Zrobić tam szkołę muzułmańską, a nauczycieli ubrać w burki".

„NN": „W zeszłym tygodniu u dzieci z ośrodka na lekcji znaleziono wszy. Dzieci zawszone siedziały w klasie do końca lekcji. Cieszę się, że są protesty i sprawa jest nagłośniona, bo mam dosyć życia koło tych brudasów".

– Wydawało się przez lata, że mieszkańcy Miasteczka lepiej lub gorzej tolerują uchodźców – zaczyna dyrektor Jarska. – Co roku mieliśmy

szkolenia dla rodziców, kto to uchodźca, kto za to płaci, dlaczego powstały ośrodki, dlaczego nie powinniśmy izolować dzieci. Ale w tym roku rodzice stawiali wyjątkowy opór. Całe wakacje karmiono nas w telewizji widokiem nadciągających Syryjczyków, to był medialny temat przed wyborami. We wrześniu 2015 roku wszystkie tłumione emocje wybuchły z wielką siłą.

Maria Jarska znalazła się między młotem a kowadłem: polską niechęcią do imigrantów a czeczeńskim rozczarowaniem systemem i Polską.

– Dostawałam anonimowe maile: „Ty kurwo, jak tak bardzo lubisz tych brudasów, to jedź do Niemiec", „Kto ci za to płaci?!". A wczoraj, podczas zebrania z rodzicami czeczeńskimi, sytuacja wymknęła się spod kontroli i gdyby nie policjant, byłoby groźnie – mówi. Jej twarz nie wyraża żadnych emocji poza bezbrzeżnym zmęczeniem. – Czasem zastanawiam się, po co mi to wszystko. Szkoła bierze udział w przeróżnych warsztatach, przyjeżdżają aktywiści z NGO-sów, organizują dla dzieci przedstawienia i dyskusje, imprezy integracyjne, są pochwały z kuratorium. Czasem widzę, że jakiś polski rodzic zmienia nastawienie, coś się w nim otwiera. A potem przychodzę do pracy i nigdy nie wiem, co się zdarzy. Może być dobrze i wszyscy będą zadowoleni, a może być trzęsienie ziemi.

Maria Jarska pokazuje mi kartkę, którą na dzień dobry dostaje każdy nowy uczeń. „Zasady zachowania się w szkole" i „W szkole zabronione jest".

– System działa tak: jednego dnia przyjeżdża do Polski dziecko z gór Kaukazu albo z somalijskiej wioski i na drugi dzień idzie do polskiej szkoły, nie znając nawet słowa po polsku. Przechodzi szok, opuszcza znajomy świat, wchodzi w nową kulturę. Musi przestrzegać zasad, które są dla niego obce.

Pochylamy się nad kartką, zdania po polsku przeplatają się ze zdaniami po rosyjsku, bo dziewięćdziesiąt procent mieszkańców ośrodka to Czeczeni, znający rosyjski:

1. W szkole zmieniamy obuwie.

– No właśnie – wzdycha pani dyrektor. – Wielkie emocje. Fakt, że muszą zmienić buty, uznają za poniżenie. W kulturze czeczeńskiej honor jest kluczowym pojęciem. A tu nagle ktoś każe im zdejmować buty. Dlaczego? Po co? Na dzień dobry jest opór.

2. Nie wszczynamy bójek, nie kopiemy i nie plujemy.

– Kultura czeczeńska jest kulturą bojowników – tłumaczy pani dyrektor. – Zapasy to narodowy sport Kaukazu, dlatego dla nich przepychanie się to forma zabawy i ustalania hierarchii w grupie. Polskie dzieci nie są na to przygotowane. To, co dla Czeczena może być zabawą, Polak odbiera jednoznacznie jako przemoc.

3. Do nauczycieli odnosimy się z szacunkiem, słuchamy ich poleceń.

– Ano – uśmiecha się lekko pani dyrektor. – W Polsce nauczycielkami są zazwyczaj kobiety, a kobieta w kulturze czeczeńskiej stoi niżej niż

mężczyzna. Nawet tu w Polsce widzę, jak małe dziewczynki noszą plecaki starszym braciom. To, że młodym chłopakom polecenia wydaje kobieta, nauczycielka, jest w kulturze czeczeńskiej nie do pomyślenia. Mniej więcej w wieku dwunastu–trzynastu lat chłopcy przechodzą ze świata kobiet do świata mężczyzn i oddzielają się od matek. A tu nagle muszą słuchać się obcych kobiet.

4. Do kolegów i koleżanek odnosimy się z szacunkiem, przyjaźnie.

– Taak… – kręci głową pani dyrektor. – Niech to sobie pani wyobrazi. Przyjeżdża taki dzieciak, przechodzi zawieruchę emocjonalną, czasem ma zespół wstrząsu pourazowego, a polskie dzieci nie zawsze witają go z otwartymi ramionami, nastawienie dziecka jest przecież echem nastawienia rodzica. Jeśli dziecko uchodźcze jest samo w klasie, łatwiej i szybciej się integruje. Ale jeśli małych uchodźców jest kilku, wówczas zamykają się i oddzielają od reszty klasy, tworzą szczelną grupę wewnątrz klasy, a Polacy nie próbują ich poznać.

5. Mówimy prawdę, kłamstwo jest niehonorowe.

– W kulturze czeczeńskiej najważniejsze jest, jak cię widzą inni – mówi pani dyrektor. – Wspólnota jest ważniejsza niż jednostka, a lojalność wobec grupy jest ważniejsza niż wszystkie inne zasady. Czeczeni myślą: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Honor jest ważniejszy od prawdy. Jeśli coś wydarzyło się w cztery oczy, to zostaje przemilczane, ale jeśli czyjś honor został obrażony publicznie, Czeczen zrobi wszystko, żeby się zemścić.

6. Do sekretariatu i dyrektora przychodzimy tylko w najważniejszych sprawach.

Pani dyrektor przeciera oczy.

– Pierwsza fala imigrantów to byli ludzie wykształceni, umęczeni wojną, wdzięczni, że mają gdzie spać, że jest spokój. Teraz, nie oszukujmy się, ci, którzy przyjeżdżają do Polski, to głównie imigranci ekonomiczni. Mają wysokie oczekiwania i często piszą skargi, na przykład że za długo muszą czekać w kolejce do lekarza. Wiedzą, jakie mają prawa, i jeśli coś idzie nie po ich myśli, straszą, że pójdą z tym do mediów. I tak Polacy uważają, że uchodźcom żyje się lepiej niż im, a uchodźcy twierdzą, że są dyskryminowani.

Na liście jest w sumie piętnaście punktów.

– Czeczeńscy rodzice krzyczą, grożą, rzucają obelgi, polscy tworzą grupy, przychodzą na korytarz, pilnują, piszą listy z postulatami i oczekiwaniami. Mamy w szkole projekty matematyczne, informatyczne, doradztwo zawodowe, psychologa wielokulturowego, zajęcia taneczne, muzyczne, antydyskryminacyjne, szkoła ma bardzo dobre wyniki w ogólnopolskich testach, ale rodzice obu stron i tak są niezadowoleni. Nagle pojawiło się społeczne przyzwolenie na mowę nienawiści, a rozwiązania prawne, chroniące i Polaków, i cudzoziemców, są niewystarczające. Poza tym nikt w Polsce nie chce zostać, każdy chce jechać dalej, do Szwecji, do Niemiec. Jak tworzyć więzi, jeśli wiesz, że może jutro już cię tu nie będzie?

Idziemy przez korytarz. Szkoła jak ze szwedzkiego obrazka: wszędzie kolory, w klasach nowe meble

i przyrządy, na ścianach nowe plansze i portrety słynnych Polaków.

– Szkoła wygląda pięknie. Chyba robi pani dobrą robotę – mówię.

– Nie potrzebuję docenienia – mówi pani dyrektor. – Potrzebuję nie zejść na zawał.

BYDŁO

W przeciwieństwie do dyrektor szkoły dyrektor ośrodka nie chce ze mną rozmawiać nawet przez telefon. Oficjalnie nie mam wstępu na teren ośrodka, ale pracownicy zgadzają się poświęcić mi chwilę.

Rozmawiam więc z Wesołą Twardzielką i ze Smutnym Obojętnym. Na początku zgodnie podkreślają, że problem z uchodźcami wymyśliły media. Ale po jakimś czasie mówią wprost: problem jest na poziomach prawnym, systemowym, kulturowym i społecznym. Zwłaszcza teraz, gdy każdego dnia media donoszą o falach uchodźców, a fora puchną od wezwań do stawiania oporu muzułmanom. Czasem w sieci pojawi się jakaś fałszywa informacja dotycząca przemocy w ośrodku i wtedy przez kilka dni telefony się urywają.

– Dzwoni jakiś pan – uśmiecha się wreszcie Smutny Obojętny – i mówi zupełnie spokojnym tonem: „Chciałbym państwa zapytać, czemu, kurwa, trzymacie tu to bydło?”.

Wesoła Twardzielka:

– Polacy sami sobie wymyślają, co się dzieje w ośrodku, i opisują to na forach. Gdy mamy dni

otwarte, przyjeżdżają ludzie z Warszawy, nie z Miasteczka.

Smutny Obojętny:

– Brakuje zrozumienia. Tutaj przyjeżdżają ludzie różni, często straumatyzowani, zagubieni. Widzieli straszne rzeczy.

Wesoła Twardzielka:

– Nie jestem w stanie słuchać, jak opowiadają: tu wybuchło, tam się głowa toczyła. Od samego słuchania bym zwariowała.

Smutny Obojętny:

– Trzeba ich w ośrodku oduczyć agresji, ale nie zawsze się udaje. Przez pół roku imigranci nie mogą pracować, bo czekają na rozpatrzenie wniosków o status. Niemal zawsze trwa to więcej niż pół roku, często procedury ciągną się latami. Ludzie uczą się bezradności. Wszystko dostają pod nos. Nudzą się. Wchodzą w konflikty. Frustracje rosną.

Wesoła Twardzielka:

– To jest inna kultura, nie oszukujmy się. W Czeczenii głową rodziny był mężczyzna, pracował, utrzymywał kobietę i dzieci. Tu, w Polsce, nic nie może, nie pracuje, jego pozycja zostaje zachwiana. Żona musi trzymać wszystko w garści, sprząta, pilnuje dzieci, lata z zakupami. Dzieci, jeśli są inteligentne i prospołeczne, cierpią najmniej, bo szybciej uczą się języka i łatwiej znajdują przyjaciół niż dorośli.

Smutny Obojętny:

– Najsłabszym ogniwem jest mężczyzna. On nie może pokazywać emocji, więc siłą rzeczy jest mu ciężej, gorzej się adaptuje. W wiosce był królem, a tutaj jest nikim. Wszystko, co może, to pogrzebać przy starym samochodzie, pójść z kolegami na piwo do lasu, i tyle. Kończy się męska dominacja, zaczyna się problem z alkoholem, z frustracją, z brakiem celu. Czeczeni nie mają odpowiedniego wykształcenia, mogą pracować tylko nielegalnie, ale nie znoszą, gdy wydaje im się polecenia.

Wesoła Twardzielka:

– Jakiś czas temu w ośrodku poszła plotka, że Hollande będzie formował pułk czeczeński do walki z uchodźcami na granicy. Ale się tu wszyscy ucieszyli! Jakby zapomnieli, że sami są uchodźcami.

Smutny Obojętny:

– Wiemy, że Miasteczko się radykalizuje przeciwko uchodźcom. Ale, odpukać, do tej pory nie było żadnego poważniejszego incydentu. Mieszkańców denerwuje, że Czeczeni chodzą po lesie, jeżdżą po okolicy nocami, piją piwo przy drodze, śmiecą. Ale policja nie odnotowuje wzrostu poważniejszych przestępstw. Więc siedzimy tutaj i robimy swoje. Nie wiadomo, co będzie za rok, za dwa. Nawet Unia Europejska może się rozpaść.

Wesoła Twardzielka:

– Żeby wziąć to wszystko na klatę, musisz się znieczulić. Na pewno pani nie powiemy, że się boimy. Jakbyśmy jednego dnia pomyśleli sobie, że się boimy, to pewnie na drugi dzień w ogóle nie przyszlibyśmy do pracy.

LAS

Wracam do Miasteczka. Znowu idę przez starą dzielnicę miasta, w ostatnich latach wyczyszczoną, zaszpachlowaną, pomalowaną. Nowe chodniki, nowe drzewa, nowy ośrodek kultury, a w ośrodku nowy pracownik, Paweł Malewski, prowadzący warsztaty dla uchodźców. Młody, przystojny, pod krawatem, pasuje jak ulał do lśniącego nowością ośrodka. Nie urodził się w tutaj, ale mieszka w Miasteczku, bo stąd pochodzi jego żona. Mówi, że dzięki temu ma świeże spojrzenie.

– Wyobraź sobie, co myśli przeciętny mieszkaniec. „Oni tam są. W lesie. Oddzieleni lasem. Chodzą po lesie Inni, ci Obcy. Mają ciemne twarze. Śmiecą, zostawiają ślady". Jak Czeczeńcy mają się zintegrować z mieszkańcami, skoro siedzą w lesie? Jak ludzie mają się ich nie bać, skoro to są ci Obcy z lasu? Umieszczono uchodźców na terenie byłej jednostki wojskowej, która przypomina raczej ośrodek dla internowanych. Sam ośrodek jest barierą komunikacyjną. Tam nie ma normalnego życia.

Co by było, gdyby uchodźcy mieszkali w centrum miasta? Gdyby mieszkańcy widzieli ich na co dzień?

– W Miasteczku jest dramatycznie niski poziom zaufania społecznego – wzrusza ramionami Paweł. – Wśród mieszkańców panuje przeświadczenie, że tutaj dorabiają się tylko pojedyncze osoby, i to dzięki relacjom z władzą. Rządzi teoria spiskowa: władza zarabia, cudzoziemcy zarabiają, i tylko biedni mieszkańcy nie mają nic. Ośrodek pojawił się nagle,

bez konsultacji, bez przygotowania społecznego. Zaraz pojawiły się głosy, że ktoś na tym robi pieniądze.

Kwestię „zaufanie polskie” omawiam z socjologiem doktorem habilitowanym Janem Sową.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych mieliśmy dramatycznie niski poziom zaufania społecznego, trzydzieści procent, teraz jest dwadzieścia – mówi doktor Sowa. – To mówi nie tylko o niskim kapitale społecznym; to mówi przede wszystkim o tym, że w polskim społeczeństwie coś fundamentalnie poszło nie tak. Mamy dużo wspólnot, organizacji, choćby grup kibolskich. Ale między tymi wspólnotami nie ma mostów. Jeśli sami sobie nie ufamy, to jak mamy ufać obcym?

I dodaje:

– W Polsce rządzi trybalizm, wspólnota opresji. Język polityki i mediów się wulgaryzuje, panuje przyzwolenie, by mówić językiem nienawiści.

– Nie oszukujmy się, Polacy nie są tolerancyjni – kręci głową Paweł Malewski. – Jesteśmy społeczeństwem homogenicznym. I jesteśmy niekonsekwentni. Polacy zawsze szukali szczęścia za granicą, mieliśmy fale wielkich emigracji, także zarobkowych, ale burzymy się, gdy ktoś chce pracować u nas.

Za komuny mieliśmy tu systemowe miasto, działały wielkie zakłady przemysłowe. Po transformacji to się zmieniło, wielu ludzi jest sfrustrowanych, permanentnie bezrobotnych, w centrum miasta obok wyremontowanych budynków są ośrodki patologii. Ale spójrzmy jeszcze dalej w przeszłość: przed drugą

wojną światową połowę mieszkańców Miasteczka stanowili Żydzi. I o tym się prawie nie mówi. Historia jest tematem tabu. Gdzieś tam głęboko jest w mieszkańcach poczucie winy. Sprawa żydowska nie została nazwana, rozwiązana, przepracowana, w podświadomości pokutuje myśl „byliśmy ci źli". A skoro tak, to będziemy źli także teraz, gdy znowu pojawiają się Obcy.

FALA

– Ludzie z natury są źli – mówi mi współzałożycielka Stowarzyszenia „Polska Historia i Chwała".

Atrakcyjna, pewna siebie i bogata, właścicielka prywatnej kliniki w centrum miasta. W czarnych spodniach z imitacji skóry i w czarnej bluzce z imitacją kolców na ramionach wygląda, jakby wybierała się na wojnę, i chyba tak jest, bo na dzień dobry mówi: „Wy, dziennikarskie hieny, manipulujecie słowami".

Założycielka tłumaczy, że chce żyć w kraju, w którym są spokój, harmonia i wiara chrześcijańska. Stowarzyszenie ma uświadamiać mieszkańców o patriotyzmie i krzewić polskość.

– Odkąd fala uchodźców zalała Europę, stałam się rasistką, jeśli chodzi o wszelkie zło, jakie imigranci ekonomiczni wyrządzają. Imigranci zaczęli totalnie napływać do Niemiec i gwałcić w okrutny sposób. Co się działo na granicach, co się działo na greckich wyspach i co w końcu wydarzyło się w Paryżu?

Przeciwnicy pani założycielki wypominają jej na forum, że jej ojciec i wujek przez wiele lat byli

imigrantami zarobkowymi w Szwecji.

– Przede wszystkim mój ojciec nie jechał tam po socjal, nie wyciągał rąk po pieniądze, tylko pracował od świtu do nocy. To ktoś ewidentnie z uprzejmej rodziny dodał ten wpis na portalu, i po mnie to spływa. Wojna w Czeczenii już się dawno skończyła. Dla mnie ci ludzie są zwykłymi nierobami, śmierdzącymi leniami, którzy prześlizgują się przez życie na słowie „daj".

Założycielka najpierw przyznaje, że w Miasteczku nie było większych incydentów, ale stowarzyszenie działa na zasadzie „mądry Polak przed szkodą". Potem przypomina sobie, że incydentów było dużo, młodzi chłopcy często zaczepiali samotnie spacerujące dziewczęta.

Zaznacza, że ona nie ufa politykom:

– Polityka dla mnie jest dziwką. Pytanie, kto się na nią skusi.

Pytam więc, komu ufa. Odpowiada, że Jezusowi. Ale chrześcijańskiego uchodźcy z Syrii by do Polski nie wpuściła, jeśli jest to „młody byk".

Nie wpuściłaby też do Polski Żydów, Erytrejczyków ani nikogo z Afryki.

– Przede wszystkim musimy myśleć o naszych Polakach z Kresów. Im trzeba pomagać, bo to nasza krew.

Ze słowami papieża Franciszka o budowaniu mostów, a nie murów się nie zgadza.

– Papież chyba nie do końca wie, co mówi, zaślepiony jest czymś. Jeśli ktoś mówi do Franciszka,

że przyjdziemy na plac Piotrowy i obetniemy ci głowę, i Franciszek jeszcze ich zaprasza, no to nie przemawia do mnie jego stanowisko.

A kiedy wyłączam dyktafon, mówi:

– Boję się o moje córki, bo za rok wybuchnie wojna religijna, Polacy przeciwko muzułmanom. Jeśli trzeba będzie, stanę w obronie ojczyzny. Staram się o pozwolenie na broń.

DOM

Trzy młodziutkie Czeczenki uśmiechają się do mnie nieśmiało. Jedną z dziewczynek jest szesnastoletnia Elza, o której wspominała pani Irenka – to właśnie Elza przechodziła przez płot ośrodka, żeby bawić się na osiedlu z polskimi dziećmi. Gdy wspominam o tym, Elza się śmieje. Mówi, że ledwo to wszystko pamięta. Tyle się dzieje, że przeszłość szybko się zaciera.

Ale wyławia z pamięci szczegóły: że w Czeczenii mieszkała w dużym domu, w ogrodzie z kwiatami, razem z bratem pasła kozły. Gdy przekraczała kolejne granice, miała ze sobą tylko różowy plecaczek, a w nim niebieski piórnik, rebusy do rozwiązywania dla dzieci i pluszowego pieska, którego dostała od babci.

– Tak sobie czasem myślę – mówi Elza. – Gdyby tutaj w Polsce zaczęła się wojna, i Polacy przyjechaliby do Czeczenii, czy nie byłoby im smutno, gdyby Czeczeni ich obrażali? W takiej sytuacji każdy może się znaleźć, Polacy też.

Jej trzynastoletnia siostra Mali dodaje:

– Gdybym mogła coś zmienić, sprawiłabym, żeby moja rodzina czuła się tu lepiej i żeby ludzie byli dla nas milsi. I żeby rodzice mieli pracę.

A ich koleżanka, szesnastoletnia Elina, próbuje mi wyjaśnić:

– My, odrzucani, trzymamy się razem, bo wtedy trudniej jest powiedzieć nam coś złego. Ale czytam na Facebooku różne strony typu: „Nie dla uchodźców", „Zabić Syryjczyków"… Czasem chciałabym, żeby ludzie, którzy to piszą, poczuli, co to znaczy strach, co to znaczy stracić swój dom, opuścić go, chociaż wcale nie chcesz wyjeżdżać… Chciałabym, żeby Polacy zrozumieli, że nam też nie jest łatwo. Odnaleźć się tu, przyzwyczaić się do tego, że nie mamy tutaj swojej rodziny, że nie mamy swojego miejsca. Polska jest dla nas drugim domem, drugą ojczyzną, drugą szansą na życie. Chciałabym umrzeć na rodzinnej ziemi, ale wiem, że nawet gdy wrócę do Czeczenii, będę też przyjeżdżać tutaj.

– Jedna rzecz mnie martwi – dodaje Elza. – Coraz więcej dziewczyn zakrywa włosy. Czasem dlatego że chcą, czasem dlatego że mężczyźni im każą. A to nie pochodzi z kultury czeczeńskiej, tylko z religii muzułmańskiej. Czeczeni się radykalizują, Polacy się radykalizują, cała Europa się radykalizuje. Boję, że będzie tylko gorzej.

ZŁO

A tymczasem za górami, za lasami, niedaleko Dużego Miasta, ale i niezbyt blisko, mieszkańcy Miasteczka nieprzerwanie stukają w klawiatury komputerów.

Polak: „Polacy byli narodem z tradycjami i w większości nie godzili się na multikulti. Jedna Polska katolicka!”.

Puszek: „To jest zło w czystej postaci, zagrożenie dla życia, zdrowia i mienia wszystkich spokojnych mieszkańców Europy. Zalew zła”.

Pod-Miasteczkiem: „Mamy Rok Miłosierdzia, a niestety, nie ma w nas za grosz pokory, refleksji. A może dlatego tak nienawidzimy innowierców, bo sami jesteśmy dokładnie tacy sami – sekujemy, walimy w łeb każdego inaczej myślącego?”.

URSZULA JABŁONSKA

KONFLIKT TRAGICZNY NA WSI POLSKIEJ

[z grabiami i kosą w tle]

Czas i miejsce dramatu są mniej więcej znane.

Czas: 13 listopada 2013 roku, późne dżdżyste popołudnie; na drogę powoli wypełzają pasma zimnej mgły znad jeziorka.

Miejsce: Tak ogólnie to wieś T. – płaskie, łyse łąki, rzadkie, sosnowe zagajniki i kępy wierzb, a w tym może ze dwadzieścia drewnianych i murowanych chałup luźno rzuconych wzdłuż dziurawej drogi, plus sklep spożywczo-przemysłowy. Tak bardziej szczegółowo to błotniste podwórko, od drogi zabytkowy dom z drewnianymi okiennicami, w głębi kilka nowszych budynków z szarego betonu, a na końcu stodoła ze starych bali.

Osoby dramatu też są znane, choć z początku może być ciężko zrozumieć ich zachowanie.

Wiktoria, rencistka, lat 38, postawna kobieta z masywnymi udami wciśniętymi w cieliste rajstopy, a poza tym w samej bieliźnie, biegnie przez podwórko, wymachując kosą.

Mariusz, pracownik ochrony, lat 45, szwagier Wiktorii, uchyla się przed kolejnymi ciosami (jeden właśnie przeleciał dziesięć centymetrów od jego głowy). Przed chwilą wyrwał kobiecie grabie, teraz próbuje wyrwać kosę, rzuca się na nią i powala na ziemię, twarzą prosto w błoto.

Anna, rencistka, lat 59, matka Wiktorii, niziutka kobiecina w czapce i gumofilcach, o twarzy okrągłej i rumianej jak jabłuszko, krzyczy coś niezrozumiałego i leci otworzyć bramę, bo po dziurawej drodze już pędzą radiowóz i karetka na sygnale. Na ten widok

Wiktoria zrywa się z ziemi, wybiega na drogę, kładzie się na poboczu i wniebogłosy krzyczy: „Pomocy!”.

Przyczyny dramatu są za to niejasne.

– Ona nie chce, żeby ludzie żyli własnym życiem, tylko żeby jej pomagali – parska Anna, zamykając bramę.

– Oni chcą tylko moich pieniędzy! – płacze Wiktoria, odjeżdżając w karetce do szpitala psychiatrycznego. – A gdybym ja się nie zbuntowała, gdybym z nimi na ostro nie poszła, tobym ciągle mężczyzną była!

AKTA SPRAWY

Dwa tygodnie po tym wydarzeniu Anna składa do prokuratury doniesienie o stosowaniu przez córkę przemocy:

„Od grudnia 2013 roku Wiktoria regularnie wszczyna awantury. Wyzywa mnie od różnych, co tylko jest możliwe, ponadto grozi, że mi gębę rozpłaszczy. Nie mam prawa nic pisnąć, ja się obawiam tych gróźb, że zostaną spełnione. Gdy powiedziałam jej, żeby dokładała się do opłat za światło, złapała mnie za włosy i uderzyła moją głową o ścianę zewnętrzną domu. Wiktoria podczas tych awantur potrafi chwycić za kołek i ganiać nas po podwórku. W listopadzie 2013 roku było tak, że pchnęła mnie z taką siłą, że upadłam i nie miałam siły się podnieść. Ostatnio Wiktoria z interwencji została zabrana do szpitala psychiatrycznego i była tam dziesięć dni. Gdy wychodziła, zadzwoniła i powiedziała, że mam jej posprzątać, ugotować obiad i że to ona będzie rządzić

w domu, a ja mam chodzić, tak jak ona będzie chciała”.

AKT I, W KTÓRYM BOHATER TRAGICZNY DOZNAJE ZAŚLEPIENIA

(ate)

Dziś Wiktoria jest bezdomna i ma do rodziny żal. Ze swoim żalem była już w wielu miejscach – w redakcjach gazet, w telewizji, w organizacjach pozarządowych. Nikt nie chciał się nim zająć. O swoim żalu opowiada mi w kawiarni w mieście oddalonym o trzysta czterdzieści dwa kilometry od błotnistego podwórka we wsi T., popijając kawą ciastko amerykankę.

– Moje życie to była jedna wielka przemoc i walka o normalność. I nikt tego nie widział, nawet prokuratura i sąd. Wszyscy byli przeciwko mnie. Chcę, żeby świat usłyszał o mojej walce.

Najpierw opowie historię małego Jacka.

Czterdzieści lat temu podwórko w T. wyglądało podobnie jak dziś, tylko betonowych budynków jeszcze nie było i nikt po nim z kosą nie latał. Cała rodzina mieszkała w trzech izbach w drewnianym domu z okiennicami. Mieszkali babcia Helena i dziadek Zbigniew, matka Anna i ojciec Jan. Ziemi było osiem hektarów pod zboże, ziemniaki i siano. Razem się pracowało w polu, razem było gotowane i przy jednym stole jedzone.

Kiedy urodził się syn Jacek, dostał siedem punktów w skali Apgar, a to oznaczało stan średni. Potem było tylko gorzej: rósł, ale nie przewracał się z pleców na brzuszek, nie siadał, nie uśmiechał się. Diagnoza: dziecięce porażenie mózgowe. To oznaczało, że może mieć trudności z mówieniem i chodzeniem, spastyczne przykurcze mięśni. Anna ganiała do lekarzy i udało się sprawić, że Jacek poszedł do zwykłej szkoły. Oceny miał wyśmienite – czwórki i piątki, tylko kilka trójek. Chciał iść do technikum albo liceum, ale zamiast tego musiał pomagać w polu i przy wywózce drewna z lasu.

– Dziecko z porażeniem mózgowym miało ciężko pracować, tak myśleli moi rodzice – mówi Wiktoria dzisiaj. – Wciąż słyszę: „Ty zawsze byłaś chora i zmęczona!". Przecież ja miałam porażenie mózgowe, miałam być jak inne dzieci?

Jak inne dzieci była za to siostra Marzena, o półtora roku młodsza od Jacka, całkowicie zdrowa, niesprawiająca kłopotów. W drewnianym domu w jednej izbie mieszkali rodzice z Marzeną, w drugiej – babcia z dziadkiem i Jackiem.

– Siostra miała wersalkę, miała jako tako urządzone, a ja nie miałam nic. Spałam na sienniku razem z babcią. Nie wiem, dlaczego tak było. Może rodzice za dużo pieniędzy wydali na lekarzy i mieli już mnie dosyć?

Kiedy Jacek skończył osiemnaście lat, dostał rentę socjalną, bo przecież ma porażenie mózgowe i jest niezdolny do pracy. W drewnianym domu się nie przelewało, więc rentą gospodarowali rodzice. Ale

Jacek już wtedy wiedział, że potrzebuje tych pieniędzy, bo ma do zrobienia coś bardzo ważnego.

AKTA SPRAWY

– Rodzina od listopada 2013 roku objęta jest procedurą Niebieskiej Karty – zeznał dzielnicowy. – Od tego czasu dwukrotnie byłem na kontroli stanu bezpieczeństwa. Przeprowadziłem rozmowy z Wiktorią, w trakcie których zachowywała się nerwowo, krzyczała, że ona nie jest sprawcą przemocy, a ofiarą, że powiadomi o wszystkim media, organizacje zajmujące się prawami człowieka i zrzeszające transseksualistów. Cały czas uskarża się, że jest nietolerowana przez domowników i mieszkańców wsi po tym, jak przeszła operację zmiany płci, że rodzina nie chce dawać jej pieniędzy oraz gotować i sprzątać.

– Matka wielokrotnie skarżyła się, że Wiktoria w żaden sposób nie chce jej odciążyć w utrzymaniu, musi sama opłacać rachunki, a córka ma dwa razy większą rentę niż ona emeryturę – zeznał inny policjant. – Wiktoria w sposób jasny i klarowny nie była w stanie określić, o co jej w ogóle chodzi, czego ona oczekuje. Robi wokół swojej osoby dużo zamieszania. Wydaje mi się, że w związku ze zmianą płci powinna być pod opieką psychologa.

– Odkąd Jacek nosił się z zamiarem zmiany płci, w domu dochodziło do awantur – zeznał brat Anny, 54 lata, mechanik w firmie autobusowej, który mieszka tuż obok. – Matka nie mogła się z tym pogodzić, wraz z babcią nie wyrażały na to zgody.

AKT II, W KTÓRYM BOHATER ZOSTAJE OBARCZONY WINĄ TRAGICZNĄ

(hamartia)

– Jak to jest nie odnajdywać się w swoim ciele? – pytam Wiktorię w kawiarni.

Ciężko jej odpowiedzieć. Po pierwsze dlatego że ten, kto tego nie przeżył, nigdy nie zrozumie. Po drugie dlatego że przez to porażenie mózgowe mówienie wciąż przychodzi jej z pewnym trudem. Zwłaszcza kiedy się denerwuje, słowa się rozmywają, trudno je wyłapać.

Jacek miał może siedem, osiem lat, kiedy zrozumiał, że tak naprawdę jest dziewczyną. Kiedy miał szesnaście, powiedział o sprawie matce. Miał nadzieję, że pomoże: „Mama, ja w męskim ciele się nie odnajduję. Chcę być dziewczyną!". Matka na to: „Po moim trupie".

Ale przecież coś musiała podejrzewać. Jacek już od kilku lat chodził w damskiej bieliźnie – majtki, stanik, czasem nawet halka. Rodzice nie protestowali. Kiedy miał szesnaście lat właśnie, znalazł w gazecie artykuł, dzięki któremu wszystko stało się jasne. Są tacy ludzie, którzy mają ciało inne, a mózg inny. Żeby zrzucić ten pancerz, trzeba jechać do Warszawy, do seksuologa. On pomoże. U seksuologa usłyszał, że może zacząć brać żeńskie hormony, dzięki którym osłabi się owłosienie na ciele, a polepszy na głowie, podniesie tembr głosu, mogą rozwinąć się piersi i poprawić cera. To poważna decyzja – jak zacznie, będzie musiał łykać tabletki do końca życia. Najpierw

trzeba jednak znaleźć pieniądze na regularne wizyty u seksuologa (sto, sto pięćdziesiąt złotych) i różne badania (poziomu hormonów, testy psychologiczne, konsultacje okulisty, neurologa i psychiatry). Hormony też kosztują – pięćdziesiąt, dwieście złotych miesięcznie, zależy, jakie przepisze lekarz.

Jacek nie wahał się ani minuty. Tylko skąd wziąć na to wszystko pieniądze?

Na szczęście była przecież renta. Miał dwadzieścia cztery lata, kiedy zrobił w domu awanturę i zaczął sam odbierać rentę, i opłacać z niej leczenie. Od razu poczuł, że organizm jakoś lepiej funkcjonuje.

CHÓR LEKARZY

„Transseksualizm – termin wprowadzony przez Davida Cauldwella w 1949 roku – jest jedną z form zaburzonej identyfikacji i roli płciowej. Polega na niezgodności pomiędzy psychicznym poczuciem płci a biologiczną budową ciała oraz tak zwaną płcią socjalno-prawną. Osoba dotknięta transseksualizmem nie czuje się reprezentantem własnej płci biologicznej, natomiast uważa, że przynależy do płci biologicznie przeciwnej, na przykład biologiczny mężczyzna czuje się psychicznie kobietą, a jego życie psychiczne, łącznie ze sferą emocjonalną, przebiega według schematu i wzorca zachowań żeńskich. Transseksualista pragnie odzyskać ciało należące do płci odczuwanej przez niego psychicznie nawet poprzez długotrwałe i skomplikowane leczenie hormonalne i chirurgiczne. Dążenia transseksualne przybierają dla tej osoby postać wewnętrznego przymusu bez względu na ewentualne konsekwencje”.[3]

„Transseksualista staje wobec dużych trudności, bowiem to, co odkrywa w sobie, nie znajduje umocowania w społecznych normach, nie jest akceptowane przez rodzinę i otoczenie, i w związku z tym staje się ciężarem trudnym do uniesienia. Konsekwencją nieradzenia sobie z własną seksualnością, jej odbiorem rodzinnym lub społecznym mogą być zaburzenia depresyjne, lękowe, zaburzenia odżywiania oraz różnorodne formy autoagresji, a nawet próby samobójcze, zachowania typu *acting out*, nadużywanie środków psychoaktywnych, konflikty w relacjach z rówieśnikami, rodziną oraz partnerami”.[4]

AKT III, W KTÓRYM BOHATER GRZESZY PYCHĄ

(hybris)

To był chyba sierpień, bo żar lał się z nieba i siano już było skoszone. Anna i Jan pojechali do wsi obok załatwić prasę, która zwinie skoszone siano w zgrabne rolki. Podjeżdżają z powrotem na obejście, a tu Jacek wisi na sznurku na drabinie opartej o stodołę. Włos im się na głowach zjeżył i dalej!, lecą, żeby go jakoś odplątać. Kiedy stanął już bezpiecznie na ziemi, pytają babcię, co to się w domu stało, że tak na drabinie zawisł. A babcia na to, że powiedziała: „Żeby ten doktor, co chce cię na babę przerobić, boskiej światłości nigdy nie obejrzał!”. I jeszcze, że powinni Jackowi głowę wyleczyć, a nie dupę zmieniać. I wtedy on, a już wtedy był całkiem postawny, z całych sił pchnął babcię w sieni na kredens. „Odszczekasz to!” – krzyknął. Poleciał na podwórze i na drabinie wisi.

– Kiedy babcia zaczęła wyzywać doktora, nie chciałam dłużej żyć – tak Wiktoria tłumaczy, czemu zawisła na drabinie. – Za dużo już było w domu o moje leczenie awantur. Jak można tak żyć? Kiedy rodzice to zobaczyli, to ojciec mnie bił batem, a matka laską po plecach. Gdybym wiedziała, co mnie potem spotka, już wtedy poszłabym do prokuratury, złożyła na nich doniesienie.

Bat i laska nie pomogły. Jacek pozwał rodziców do sądu o to, że podali błędną płeć do wpisu do aktu urodzenia (to w Polsce standardowa procedura), ale nie jeździli do sądu, więc wszystko poszło gładko. Pewnego dnia po prostu pokazała im dowód z pięknym nowym imieniem Wiktoria, niczym rzymska bogini zwycięstwa i brytyjska królowa.

– Wydawało mi się, że zrozumieli – wzdycha. – Matka powiedziała: „Moje dziecko, bądź szczęśliwe". „Wika, Wikusia" na mnie wołali. Przez dziesięć lat było spokojnie. Potem zmarł ojciec, chorował na raka krtani. Dostałam po nim drugą rentę, rodzinną, w sumie miałam tysiąc pięćset złotych miesięcznie. Wreszcie zaczęłam funkcjonować jak normalny człowiek. Ale moja rodzina tak tego nie widziała.

AKTA SPRAWY

„W sprawie powołano dwóch biegłych lekarzy psychiatrów celem wydania opinii sądowo-psychiatrycznej dotyczącej Wiktorii B. Z opinii tej wynika, że biegli nie rozpoznali u Wiktorii choroby psychicznej, rozpoznali natomiast organiczne zaburzenia osobowości i upośledzenie umysłowe u osoby z porażeniem mózgowym dziecięcym

w wywiadzie i transseksualizmem. Ten stan psychiczny *tempore criminis* ograniczał jej zdolność do rozpoznania zarzucanego czynu i pokierowania swoim postępowaniem w stopniu znacznym”.

AKT IV, W KTÓRYM MA MIEJSCE NAGŁY ZWROT AKCJI

(perypetia)

W 2013 roku lekarz powiedział Wiktorii: „Ruszaj na operację do Gdańska”. Już dziesięć lat brała hormony i żyła jako kobieta. Operacja usunięcia jąder i ukształtowania pochwy kosztuje sześć tysięcy. Ale lekarz zaproponował: „Wiesz co, dołóż tysiąc dwieście i będziesz mieć wszystko”.

– Wzięli ode mnie mniej niż od innych – mówi z dumą Wiktoria. – Ale i tak konieczny był kredyt. Rodzina, kiedy usłyszała, że chcę pożyczyć pieniądze na operację, zaczęła protestować. Siostra powiedziała: „Jak zrobisz operację, to się wyprowadzasz”.

Wiktoria pojechała. Przecież musiała dokończyć dzieła, które rozpoczęła tyle lat temu. Po operacji czuła się wspaniale, miała wrażenie, że odblokowało jej się całe ciało, odblokowała się też mowa, zaczęła mówić wyraźniej. Ale czuła się również bardzo źle – bolały świeże rany, nerki, nie mogła oddać moczu. Bolał kręgosłup.

– Mama nic mi nie pomogła. – Wiktoria zaczyna szlochać. – Ja się tak strasznie źle czułam, a ona w domu obok smacznie sobie spała.

Wtedy drewniany dom stał już pusty, rodzina mieszkała w kilku prostych budynkach na podwórzu. W jednym Marzena z Mariuszem i dzieckiem. W drugim Anna z matką Heleną, lat 83, chorą na miażdżycę, już niechodzącą. W trzecim, malutkim, tylko szesnaście metrów – Wiktoria.

Po operacji coś się w niej zmieniło.

– Zaczęłam się stawiać i być twarda – tak podsumowuje swoją przemianę. – Przed operacją nic rodzinie nie mówiłam, bo się bałam. Teraz miałam już odwagę. W domu był syf, mogiła, brud i smród. Jest ziemia, a oni nie chcą nic uprawiać. Ludzie na wsi żyją jak w dziewiętnastym wieku! Umywalka cała brudna, muszli klozetowej nie dało się wymyć. U mnie w pokoju był grzyb. Musiałam brać leki nasenne, żeby w ogóle tam zasnąć.

I pokazuje zdjęcia czarnych plamek grzyba w kącie łazienki i zacieków na umywalce u siostry, sypiącego się tynku i niepozmywanych naczyń u matki i babci, podmokłych ścian u siebie w pokoju.

– Ja, jak się ochlapię kawą, to od razu wrzucam do pralki, żeby było czyste. – Wiktoria gładzi się po świeżo ufarbowanych włosach. – Kąpię się co drugi dzień. Skóra musi być delikatna, dłonie gładkie.

Tylko kto miał się gospodarstwem zajmować? Wiktoria ma chory kręgosłup i ręce. Anna wtedy już nie pracowała, też chora na kręgosłup, od trzynastu lat na rencie. A jeszcze musiała opiekować się leżącą babcią i wnuczką. Marzena i Mariusz w tygodniu dojeżdżali do pracy do miasta, w sklepie i ochronie.

Ale najgorsze awantury, jak ta, kiedy Wiktoria z kosą latała, były o pieniądze.

– Oni chcieli, żebym im wszystko oddawała. Chwila, ale ja też potrzebowałam! Jestem osobą chorą, muszę mieć na dalsze leczenie. Muszę kupić kosmetyki, ubrania. A matka przede mną drzwi zamykała. Przed chorym dzieckiem! Niepełnosprawnym! Nie chciała mnie wpuścić do swojego mieszkania, gdzie można było sobie coś ugotować.

I puszcza rozmowę, jedną z wielu, które nagrała na dyktafon jako dowód dla prokuratury. Ona też złożyła doniesienie na rodzinę, że jej w domu dzieje się krzywda.

Wiktoria: „Ręce mnie bolą, byś mi trochę tych ziemniaków obrała. Jeszcze piersi i pochwa mnie bolą".

Anna: „Jak żeś ogon na dziurę zmieniła, to się tak właśnie zrobiło. A tak nie było".

Wiktoria: „Ty mnie tłukłaś po kręgosłupie, bo mnie nie mogłaś zrozumieć! Błagam, obierz mi tych kartofli! Jezu!".

Anna: „Nie mogę obrać kartofli! Proszki przeciwbólowe sobie weź, i już".

Babcia (leżąca): „No, przynieś tu, to ci obiorę".

CHÓR DOMOWNIKÓW

– Bez problemu pani trafiła? – wita mnie szwagier Mariusz, uchylając bramę, żebym mogła wejść na podwórko. – Przed odejściem Wiktorii od razu było wiadomo, gdzie mieszkamy, bo wrzaski się niosły po

całej okolicy. Teraz ludzie muszą po wsi pytać, bo wreszcie jest u nas cicho. – Zamyka za mną bramę.

Zaprasza wszystkich domowników do pokoju w swoim budynku. Jest skromnie, ale ściany odmalowane, odkurzona meblościanka. Sam siada w fotelu, Marzena obok mnie przy stole, Anna przycupnęła na łóżku.

– Od małego było z nią ciężko – wzdycha Anna, uprzednio upewniwszy się, czy mam herbatę w filiżance i szarlotkę na talerzyku. – To było dziecko z porażeniem mózgowym, więc jeździło się do lekarza. I na prawo, i na lewo. I prywatnie, i na ubezpieczalnię. Dobrze, że mama mi pomagała. Jedna brała torbę, druga dzieciaka na plecy i żeśmy jechały.

I opowiada, jak jeździła do poradni wychowawczej, do logopedy, posyłała syna na turnusy rehabilitacyjne, co tylko trzeba było. Spod ziemi wyciągali, żeby Jacuś miał.

Anna:

– Łapałam nauczyciela matematyki czy polskiego, jak nie na wywiadówce, to na drodze, i pytałam, co mam z nim robić. Jak po południu przyszedł ze szkoły, w gospodarstwie już obrobiłam i dalej z nim pracowałam. Nauczycielki wspominają, że żadna dzisiaj tak z dzieckiem nie pracuje. Gdybym miała wtedy ten rozum co dziś, to bym tej głupoty nie zrobiła! Nie woziłabym po lekarzach, gdybym wiedziała, że takiego człowieka wychowam.

– Jakiego? – pytam ostrożnie.

– Samolubnego! – krzyczy Anna. – Zwracałam się do niej o pomoc. Ona miała tysiąc pięćset złotych renty, najwięcej w całej wsi, ja miałam niecałe osiemset pięćdziesiąt. I myśmy płacili za węgiel, za światło, za chleb i coś do chleba. A ona chciała jeszcze pomocy! „Bo ona musi godnie żyć"! A przecież zięć ją wszędzie wiózł samochodem. Jak jej się czegoś zachciało: wieży, nowych półek, to na kredyt brała albo z banku pożyczała. Jak chciała się umyć, to o piątej rano dzwoniła do brata, czy już w piecu napalił. Ale to wszystko było jej mało.

– A w gospodarstwie pomagała?

Marzena dolewa mi herbaty.

– Pracowała przy sianokosach, tak samo jak i ja. Ale co to, trochę kosą pociąć trawy? Taczkę czy dwie na cały dzień?

– Czasem musiała coś pomóc i nie powiem, pomogła – przyznaje Anna. – Ale jak się mieszka na wsi, to wszystkie dzieci muszą pomóc. Ale że ona musiała pracować? Pracować to ja musiałam od rana do wieczora. A jak jej się zachciało roweru, to trzeba było kupić dziś, natychmiast!

– A nie przeszkadzało państwu, że chce zmienić płeć? – pytam w końcu.

Cisza. Odpowiada Anna:

– Myśmy uważali tak: „Chce chodzić w sukienkach, niech chodzi". Oczywiście, że jak sobie jako dziecko rajstopów nakupiła i szminek, to się ojciec sadził. To był dla niego szok, bo chłop o czymś takim wcześniej nie słyszał. Ale koledzy ze wsi mu zaczęli tłumaczyć:

„Janek, odpuść, niech się maluje, niech założy kieckę, szkoda zdrowia”. Jak ksiądz chodził po kolędzie, nieraz rozmawialiśmy. Pytam: „Proszę księdza, czym my zawiniliśmy?”, a ksiądz na to: „Niczym, tak się czasem zdarza. Na wsi to się tak często nie spotyka, częściej w mieście”. Ale jak postanowiła, że będzie się przerabiać z chłopa na babę? Człowiek przeżył tyle lat i nie widział, żeby tak się można było przerobić.

– I nie zabraniali jej państwo zrobić operacji?

– Nie – odpowiada szybko Marzena.

– Przecież jej nie można było nic powiedzieć! – irytuje się Anna. – Ona zawsze robiła, co chciała. Czy któryś z tych lekarzy konsultował się, zawezwał rodziców? Tego nie było. Tu nie są potrzebne hormony za siedemdziesiąt złotych, tylko za tysiące. Ja mam koleżankę, która pracuje jako pielęgniarka, to mi powiedziała: „Zrobili zabieg, to zrobili, ale to jest królik doświadczalny”. Takie przerabianie się jest dla bogatych.

– Do momentu zabiegu nie było aż tak źle – mówi Marzena. – Po zabiegu poczuła się silniejsza i zaczęła szaleć.

– Wróciła ze szpitala akurat na Matki Boskiej Anielskiej – przerywa Anna. – Ludzie na galowo idą drogą na sumę do kościoła, a ona między nimi w szlafroku spaceruje i tłumaczy, że już nie ma penisa, tylko pochwę. Ja mówię: „Bój się Boga, idź lepiej na spacer do jezior!”. A ona: „Zabronicie mi się nawet pochwalić?”.

– I w tym wszystkim jeszcze dzieci! – Anna jest już bardzo zirytowana. – Nasza będzie miała dziewięć lat,

u brata chłopczyk sześć. Dwoje malutkich dzieci na podwórku, a ona w staniku chodzi? Albo bez stanika, w samych majtochach? Przecież to patologia! Żeby dzieci takie cyrki oglądały?

– Póki jeszcze z łapkami nie szła, było jako tako. – Anna się trochę uspokaja. – Ale jak zaczęła się z kołkiem, z widłami sadzić, to ja się jej bałam. Taki powiem przykład. Od teściowej dostała kurtkę. Ja mówię do córki: „Trzeba po chleb do piekarni jechać". Marzena założyła tą kurtkę, a ona zobaczyła to i za kołek łapie. Oni poszli do pracy, ja miałam w domu dziewczynkę, która chodziła do zerówki. Tak się denerwowałam, że nie wiedziałam już, na co krople brać.

– Jak żona do mnie dzwoniła, to nie pytałem się: „Jak się, kochanie, czujesz?" tylko od razu: „Co się stało?" – odzywa się po raz pierwszy Mariusz. – Był taki moment, że dwa, trzy razy dziennie miałem telefon, że Wiktoria szaleje.

– A państwo jej nigdy nie bili?

Cisza.

– Tylko raz. – Anna unosi złowieszczo palec wskazujący. – Jak na drabinie wisiała. Wtedy dostała! Jednego bata od ojca i jedną laskę ode mnie. Ja się tego nie wyprę! Więcej powiem: trzeba było tego dziadostwa nie ruszać. Niechby się powiesiła. Powiesił wtedy jeszcze! Bylibyśmy popłakali i byłby święty spokój. Nie marnowalibyśmy zdrowia i pieniędzy!

Mariusz i Marzena wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Czuję, że czas się pożegnać. Szwagier odprowadza mnie do bramy.

– Latem tu wszędzie jest trawa – rzuca usprawiedliwiająco, patrząc, jak moje buty grzęzną w marcowym błocie na podwórku. – Już spłaciliśmy wszystkie długi, teraz powoli zrobimy tu porządek – dodaje.

– Jakie długi? – pytam zaskoczona.

– Kredyt, który Wiktoria zaciągnęła na operację – mówi Mariusz. – Spłacaliśmy, bo była tu zameldowana. Tak nam policjant doradził. Powiedział: „Ja bym wolał jej długi spłacić, a ją zgłosić do prokuratury, byle ona stąd poszła i była cisza". I teraz jest cisza. Jak makiem zasiał.

AKT V, W KTÓRYM BOHATER ROZPOZNAJE SWÓJ BŁĄD I NASTĘPUJE KATASTROFA

(anagnorisis)

Ten dzień Wiktoria zapamięta na zawsze – 27 marca 2014 roku. Godzina chyba osiemnasta. Pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Sierżant sztabowy Karina Sernik – słychać miły głos.

Wiktoria otwiera drzwi, a tam policjantów jak psów – chyba dziesięciu. Wiktoria ma stawić się na przesłuchanie, bo jest podejrzana o stosowanie wobec rodziny przemocy psychicznej i fizycznej.

Do zarzucanych czynów przyznaje się połowicznie. Według niej przemoc w domu była wzajemna, jej też się krzywda działa. Zeznaje także, że wyprowadzi się do domu opieki społecznej. Musi rodzinie ustąpić, bo się psychicznie wykończy.

– Musiałam natychmiast stamtąd wyjść! – Wiktoria dojada amerykankę, zupełnie nie przejmując się, że para przy sąsiednim stoliku patrzy w osłupieniu na jej sto dwadzieścia kilogramów świeżo upieczonej kobiety. – Dwa tygodnie i bym matkę i siostrę udusiła za to, że mnie do sądu podały. Więc spakowałam ciuszki, kosmetyki, laptop i w drogę.

Dziś Wiki mieszka w schronisku dla bezdomnych kobiet. Ma w pokoiku czysto i fajnie. Nie robi awantur, pomaga staruszkom, nosi im listy na pocztę. Udziela się w lokalnej organizacji broniącej praw osób LGBT. To teraz jest jej rodzina.

– Moja koleżanka też musiała się przenieść ze wsi w Opolskiem do miasta – opowiada. – Jak zmieniła płeć, powiedziano jej: „Ty tu już dłużej nie pomieszkasz". Jest dużo bezdomnych transseksualistów. Lekarz powiedział mi wyraźnie: „Na sto osób, które wychodzą ze szpitala w Gdańsku, dwadzieścioro jest bezdomnych". Ponad połowa spotyka się z przemocą fizyczną i psychiczną. W Warszawie powstał już hostel dla osób LGBT, które tracą dach nad głową i nie mają dokąd pójść.

– Wiktoria, ja wszystko rozumiem, ale dlaczego ty ich biłaś i z kosą za nimi latałaś? – dociekam.

– Siostry nie biłam nigdy. Matka za to, że się tak o pieniądze awanturowała, musiała dostać kilka razy

po twarzy. Nie mogłam pozwolić, żeby mi weszła na głowę. Babci raz przyrżnęłam za to, że podniosła laskę i próbowała mnie uderzyć. Oni specjalnie tak robili, żeby mnie sprowokować i się mnie pozbyć. – Wiktoria zaczyna płakać, bo wraca ten żal, z którym od dwóch lat chodzi do gazet i telewizji, a którym nikt nie chce się zająć. – A ja tylko chciałam, żeby moja rodzina była normalna, doceniła, że wyszłam z upośledzenia, że udało mi się wyjść z ciała, którego nie chciałam.

I opowiada, że nawet z dzieciństwa miłych wspomnień nie ma żadnych. Mama nigdy jej nie powiedziała, że ją kocha, nie przytuliła, nie pocałowała. Miała takie powiedzenie: „Na miłość trzeba sobie zapracować".

AKTA SPRAWY

„Sąd ustalając, że wina oskarżonej i społeczna szkodliwość czynu nie są znaczne, a okoliczności jego popełnienia nie budzą wątpliwości, warunkowo umarza postępowanie przeciwko Wiktorii B. Na okres próbny wynoszący dwa lata orzeka wobec oskarżonej zakaz kontaktowania się telefonicznie oraz poprzez e-mail z pokrzywdzonymi oraz zakaz zbliżania się do pokrzywdzonych na odległość stu metrów".

KATHARSIS

Wiktoria nie widuje się więc z rodziną, nie pisze, nie dzwoni.

– Przez jakiś czas mieszkała w pobliskim domu pomocy społecznej, ale tam złapała świerzb i odeszła, teraz w mieście ma jakąś kajutę – mówi Anna, marszcząc brwi.

– A skąd pani wie, skoro się nie odzywa? – dziwię się.

– Wciąż wydzwania po urzędach i sąsiadach, żali się, że matka jej nie pomagała, że nic od nas w życiu nie dostała. Ale też stara się dowiedzieć, co u nas. Czy mamy obrobione w polu? Czy ciągle spłacamy dług?

– Może tęskni? – sugeruję.

Anna zaciska usta i odwraca głowę.

– Jako dziecko ją kocham, ale jako człowieka to się bardzo jej boję.

Zmieniłam imiona członków rodziny Wiktorii.

---

[3] Stanisław Dulko, *Saga o płci*, „Rocznik Lubuski”, tom 32, cz. 2, 2006.

[4] Magdalena Radko, Izabela Łucka, Joanna Pleskot Kaczmarek, *Transseksualizm – pytania i wątpliwości*, „Psychiatria i Psychologia Kliniczna”, nr 12/2012.

AGNIESZKA WÓJCIŃSKA

MOJA DONICZKA JEST LEPSZA

PROLOG. KTO TY JESTEŚ?

Kwitną kasztany, maturzyści szykują się do egzaminów, a cała Polska do majówki, kiedy Janek pisze list. „Gazeta Wyborcza" opublikuje go równo dwieście dwadzieścia trzy lata od uchwalenia Konstytucji 3 maja – drugiego na świecie spisanego nowoczesnego dokumentu tego rodzaju. Janka matura wprawdzie dopiero za rok, ale to dla niego trudny czas. Mówi o nim: „Coś się we mnie przelało". Jest rozbity i zawiedziony, niemal na skraju depresji. Siedzi i rozmyśla, co jest z nim nie tak. Raz spędza tydzień odizolowany w domu i zastanawia się, czy ma obsesję na punkcie swojego wyglądu i tego, co go z tego powodu spotyka.

Pisze tak:

„Zacznijmy od tego, że jestem Polakiem. Dumnym patriotą, który w Polsce się urodził i w Polsce umrze. Jeśli trzeba, to i za Polskę. Szkopuł jest w tym, że jedno z moich rodziców pochodzi z Azji. Nietrudno się więc domyślić, jak wyglądam […]. I bynajmniej nie chodzi o to, że się tego wstydzę. Przez podwójne pochodzenie łączę w sobie dwie kultury, kultywuję w sobie najlepsze wartości dwóch narodów. Jednak niektórym Polakom ciężko jest uznać za Polaka osobę na Polaka niewyglądającą. Z czego to wynika? Doszło do tego, że każdego dnia idę ulicą z opuszczoną głową, wręcz skulony. Nie ma dnia, by jakiś Polak, mój – o ironio! – rodak nie wychłostał mnie słowem pogardy, perfidnym, jawnym wbijaniem szpili".

– Patriotyzm? – zastanawia się, gdy rozmawiamy półtora roku później. Zdążył skończyć liceum i studiuje

na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – Może się przejawiać w każdej dziedzinie naszego życia. Najbardziej trywialny przykład to Orzeł, który zawisł nad moim biurkiem. Ale to nie jest ślepa gloryfikacja mojego kraju. Jeżeli dzieje się w nim coś niedobrego, nawet w małej grupie ludzi, którzy deklarują, że są Polakami, obowiązkiem patrioty jest powiedzieć: „Stop, robicie źle". Na przykład, jeśli jest jakaś nieprawidłowość w działaniu policji, którą rzecznik stara się zatuszować, obowiązkiem Polaka jest dbać, żeby ta sprawa wyszła na światło dzienne.

Janek rośnie i marzy: skończy szkołę, zostanie wojskowym. Będzie służył Ojczyźnie, jak trzeba, pójdzie się za nią bić. Największym autorytetem jest dla niego dziadek, wzorem oficerowie II RP. Każde dziecko podobno mówiło o nich: „Mamo, patrz, oficer, chcę być tak szlachetny jak on!". I Janek chce.

A potem jedzie pociągiem. W jego przedziale siedzą dobrze umięśnieni mężczyźni, jak się okazuje, wojskowi. Jeden z nich był na misji na Bliskim Wschodzie. Gdy cała czwórka otwiera po piwie, nie zwraca im uwagi, żeby nie prowokować, jedynie mimowolnie patrzy na puszkę jednego z nich. To wystarczy, by tamten zapytał go: „Chcesz wpierdol?", i nazwał „żółtkiem".

JAKI ZNAK TWÓJ?

Autor listu trochę się wstydzi, że ten Orzeł Biały na ścianie w jego pokoju jest taki prowizoryczny, bo wydrukowany z komputera. Jan powiesił go nad biurkiem, obok łóżka, żeby mu przypominał o polskości.

– Dlaczego właśnie orzeł?

– Według legendy to symbol początków polskiej państwowości, narodzin nowej tożsamości i nowego społeczeństwa. Choć fakt, szczerze się zastanawiałem nad wywieszeniem nad łóżkiem skrzyżowanych flag Polski i obu Korei, bo zjednoczenie tych dwóch krajów, a przecież jednego narodu, leży mi na sercu. Ale godło ma jednak większą wagę i siłę działania na ludzką psychikę. Nadaje mojemu małemu „miejscu pracy" powagę i wyższą rangę.

Tuż obok wisi portret Mozarta. Dwie ważne rzeczy w życiu Janka: patriotyzm i muzyka, bo Jan gra na pianinie i trochę komponuje.

Jan (na chrzcie dostał Ryszard, ma jeszcze trzecie imię, ale o tym za chwilę) patriotyzm odkrył, kiedy zaczął dorastać. Wtedy pojawiła się świadomość, kim jest i dlaczego może to być ważne. Mówi, że nikt mu tego nie wpajał. Ale jest dumny z patriotyzmu swoich przodków. Z tego, że walczyli w powstaniach wielkopolskim i warszawskim. I z tego, że dziadek, wybitny pianista, jako pierwszy na świecie nagrał na jednym albumie wszystkie utwory Karola Szymanowskiego, a na swoim koncie ma medale i odznaczenia za promowanie polskiej kultury i tytuł Honorowego Obywatela Krotoszyna. Dziś Jan wyrwany o czwartej nad ranem ze snu może zaśpiewać w całości *Mazurek Dąbrowskiego* albo *Rotę*, a za najwyższe dobro uważa Ojczyznę.

Gdy niedawno stwierdził, że mógłby za swój kraj umrzeć, znajomi pukali się w głowę. Koleżanka powiedziała mu wprost: „Nie powołuj się na polskość,

bo nie ma czegoś takiego" (typowa wyznawczyni kosmopolityzmu, mówi on, bardzo destrukcyjne podejście). Inni sugerowali, że lepiej by zrobił, żeby się od tej polskości oderwał i więcej nie przejmował tematem.

Jan był zaskoczony:

– Jak mógłbym polskość porzucić?

Choć znacznie później przyzna mi się, że był czas, kiedy zupełnie serio o tym myślał.

BYĆ NORWEŻKĄ

– Bardzo ładnie mówi pani po polsku.

– A dziękuję, w wojsku mnie nauczyli – odpowiada najczęściej, choć rodacy rzadko kiedy rozumieją, że to żart. A przecież Polska to nie Izrael, gdzie kobiety obowiązkowo służą w armii. Chociaż, myślą rodacy, może nauczyła się tam daleko, u siebie?

Październik 2015 roku się kończy, mija Wszystkich Świętych i pierwsze dni listopada, a ona wciąż zastanawia się, czy pójść w Marszu Niepodległości. Bardzo by chciała, bo jest patriotką i ma ochotę świętować niepodległość Polski wraz z innymi. Kiedy była na saksach w Norwegii, trafiła na tamtejsze święto niepodległości.

– Wspaniała uroczystość, ludzie przemaszerowali przez miasto, grały orkiestry, wszyscy się cieszyli, machali flagami, uśmiechali i śpiewali – opowiada. – I byli razem, nawet cudzoziemcy w strojach ludowych swoich krajów, na przykład Japonka w kimonie. To

było rodzinne święto, radosne. Miałam wtedy ochotę być Norweżką, znać ten hymn i iść razem z nimi.

No i w Polsce też by tak chciała, a hymn mogłaby śpiewać ze wszystkimi, bo zna go na pamięć.

Marsz to jeden z powodów, dla których idę porozmawiać z Van Anh. Pod koniec października na fejsbukowym forum „Wietnamczycy w Warszawie" zadała pytanie, czy ktoś był wcześniej na Marszu Niepodległości i jakie miał doświadczenia. W komentarzach ludzie pisali: „Jak będziesz z chłopakiem Polakiem, to będzie OK", „Jesteś ładną Wietnamką, więc będzie OK", ewentualnie: „Jesteś kobietą, więc nie ma problemu".

– Więc gdybym była facetem, to jednak byłby problem? – mówi.

Jej obserwacje odnośnie do marszu są takie, że ponad połowa rasistowskich incydentów w całej jej prywatnej historii z Polską, których była ofiarą lub świadkiem, wydarzyła się w ostatnich kilku latach, czyli od kiedy Marsz Niepodległości zyskał na sile, zawsze w tygodniach bezpośrednio go poprzedzających. To wtedy ktoś opluł jej brata, a jej pokazał „heil Hitler" podczas wieczornego spaceru z psem we własnej okolicy.

Na marsz ostatecznie postanowiła nie iść. Jej chłopak, Polak, ten, który miał być argumentem dopuszczającym, uznał, że cały czas by się o nią bał. Dla niej przeciwwskazaniem nie był strach, ale to, żeby nie podpisywać się pod hasłem POLSKA DLA POLAKÓW, POLACY DLA POLSKI, którego pierwsza część była szczególnie eksponowana.

– Jeżeli za tym hasłem idzie baner z kotletem i Mahometem, pod którym kryje się przekaz, że nie chcemy uchodźców, to wiadomo, o co chodzi. Że to jest Polska dla tych prawdziwych Polaków.

– Czyli kogo?

– Według tych osób, które podnosiły to hasło w internecie i podczas marszu, Polak to ktoś, kto wierzy w Boga katolickiego, wychował się w Polsce, jest biały, mówi po polsku. Właściwie na tym się to chyba kończy. Tylko co to znaczy i jak się skończy to, że tyle ludzi chce przejść przez miasto pod tym hasłem?

„[Nie mogę dać cichej zgody na to, że] uczyniono ze słowa «imigrant» obelgę i pretekst do nienawiści" – dodaje Van Anh na swoim facebookowym profilu.

MIARA

A Bonnie? W którym momencie została Polką? I czy nią jest, skoro się tu nie urodziła, nie ma polskiego obywatelstwa (jeszcze), a kolor skóry wcale nie jest biały? Nie mówiąc o tym, że sobie Polski nie wybrała, tylko jej się ta Polska przydarzyła.

Czy miarą polskości Bonnie Sucharskiej mogłoby być to, że zagrała w jednym z najważniejszych dramatów narodowych? W poznańskich *Dziadach* Radosława Rychcika jest Sową, duchem kobiety, która pod murami domostwa złego pana umarła z dzieckiem na rękach z głodu i chłodu. Jej rola zaczyna się zresztą jeszcze przed teatrem. Stoi pod drzwiami, przebrana za żebraczkę, i prosi o pieniądze, zaczepia

widzów, którzy „wchodzą do dostatniego i ciepłego domu złego pana”.

– Najgorzej było we Wrocławiu – mówi. – Tylko dwie osoby, które zaczepiłam, przeprosiły, że nie mają pieniędzy. Pozostałe odpychały mnie, wyzywały od menelek, kazały się wynosić albo groziły, że wezwą policję. Dlaczego akurat we Wrocławiu, nie mam pojęcia, bo graliśmy w całej Polsce.

A może legitymuje ją jako Polkę, że spędziła tu niemal połowę życia? Przyjechała, gdy miała czternaście lat, niedługo kończy dwadzieścia siedem. Historia Bonnie (jej pełne imię to Sibonisiwe) nie jest typowa, bardziej przywodzi na myśl pozytywistyczną nowelę albo amerykański film o szansie, jaką dostaje od losu dziewczynka ze wsi pod Bulawayo, drugiego co do wielkości miasta w Zimbabwe.

Nie przyjechała tu z emigrującymi z Afryki rodzicami, bo oni, a właściwie mama, gdyż tata zmarł, wciąż tam żyje. Podobnie jak ósemka jej starszego rodzeństwa. Miała dwanaście lat, kiedy jej wioskę odwiedziła właścicielka firmy papierniczej z Polski. Robiła zdjęcia dzieciom, zaczęły z Bonnie żartować na temat zaproszenia do Polski. Dobrze im się rozmawiało i tak od słowa do słowa zaczęły korespondować. W którymś z listów Bonnie, znów na żarty, przypomniała temat zaproszenia do Polski, a Polka poczuła, że z obietnicy danej dziecku powinna się wywiązać. Załatwianie zaproszenia i prawnego zabezpieczenia, żeby dziewczynka w każdej chwili mogła wrócić do rodziny, trwało dwa lata. Bo jak wyjaśnić urzędom, że rozwiedziona Polka, która ma dorosłego syna i własną firmę, chce zaprosić do siebie

zupełnie obcą nastolatkę z Afryki? Bonnie przyjechała w czerwcu i zaczęła intensywny kurs polskiego, pięć dni w tygodniu po sześć godzin. Kiedy we wrześniu szła do polskiej szkoły, sporo już rozumiała. Z początku miała tu być przez trzy miesiące, wrócić do siebie, a jeśli uzna, że jej się podoba, znowu przyjechać do Polski, tym razem na pół roku i wtedy ewentualnie zostać. Ale zaczęła się szkoła, lekcje tenisa, każdy dzień miała wypełniony od rana do wieczora.

Po roku mówiła już po polsku całkiem dobrze, a temat wyjazdu do Zimbabwe nie wracał.

SAPKOWSKI I HEY

– Moja polskość? – zastanawia się Van Anh. – Najbardziej przejawia się przez język, który bardzo lubię.

Prowadzi warsztaty kreatywnego pisania w ramach Loesje (to między innymi pod jej okiem kilkanaście osób tworzy filozoficzne hasła, które potem można przeczytać na murach), a kiedyś nawet marzyła, żeby zostać polonistką.

– To byłby najlepszy dowcip na świecie, gdybym zaczęła uczyć polskiego w szkołach. Raz miałam dużą satysfakcję, gdy pojechałam na kongres polonistów na Uniwersytet Jagielloński i uczyłam ich kreatywnego pisania. Jakie zdziwione mieli miny, że przyszła Wietnamka i uczy ich pisać! Myślę, że jestem do języka bardziej przywiązana niż przeciętny Polak i bardziej wyczulona na to, co można z nim zrobić.

Mieszka tu od czwartego roku życia, a polski jest jej pierwszym językiem. Potem rodzice chcieli, żeby

nauczyła się angielskiego i niemieckiego. A kiedy była starsza, zorientowali się, że nie mówi po wietnamsku. Więc w szkółce niedzielnej dla takich jak ona poznawała ten język według programu z wietnamskiej szkoły i nic nie rozumiała. Język opanowała później sama, z podręcznika dla Polaków.

Van Anh jako Ania (bo wiele dzieci o wietnamskich korzeniach przyjmuje nasze imiona na użytek polskich rówieśników i nauczycieli) skończyła kolejne szczeble publicznej polskiej edukacji i poszła na socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Dopiero wtedy zawalczyła o to, by znów być Van Anh.

Niedawno jej chłopak wymyślił mnemotechnikę na to imię. Teraz, gdy ona się przedstawia, prosi, by wyobrazić sobie duży samochód (czyli van) pełen Ań, bo tak wymawia się drugą część jej imienia.

Jej rodzice poznali się w Polsce, dokąd, jako do bratniego kraju, w latach osiemdziesiątych wysłał ich na studia rząd Socjalistycznej Republiki Wietnamu, mamę na poligrafię, tatę na ochronę środowiska. Praktyczne kierunki, które miały przydać się ojczyźnie, do której wrócili po stypendiach. Do Polski, już wolnej i demokratycznej, pojechali ponownie na początku lat dziewięćdziesiątych, licząc na lepszy start życiowy dla dzieci – Van Anh i jej starszego brata.

Van Anh cieszy się, że tu mieszka. Gdy o tym myśli, odzywa się jej patriotyzm, to, że się tu wychowała, ma rodzinę i znajomych. W dzieciństwie polskość reprezentowały dla niej losowanie nazwisk na mikołajki w szkole, mielony z buraczkami i andruty. Potem była pierwsza ważna książka – opowiadania

Sapkowskiego *Wiedźmin*, kupione na bazarze przy Broniewskiego w Warszawie, a w nich zdobyty autograf autora. Początek fascynacji fantastyką. I pierwszy koncert, w gimnazjum, Hey w Stodole, wybór nieprzypadkowy, bo bardzo jej się podobały niebanalne teksty. Z podobnych powodów słuchała Pidżamy Porno.

– Z drugiej strony – mówi – gdybym dorastała we Francji czy w Niemczech, czułabym pewnie coś podobnego do tamtych krajów. To jak na obrazku z dwoma kwiatkami w doniczkach, z których jeden mówi do drugiego: „Moja doniczka jest lepsza”. To przypadek, że rosnę akurat w tej doniczce.

GDZIE TY MIESZKASZ?

Kiedy Jan ma pięć lat, mama wraca do domu zapłakana. Na osiedlu z wielkiej płyty na warszawskim Żoliborzu dostała w głowę cegłą. Janek nie rozumie, o co chodzi. Matka wyjaśni mu to, kiedy będzie miał lat kilkanaście. W kłótni, w której on zarzuci jej, że kiedy w szkole spotykały go nieprzyjemności, nie umiała się za nim wstawić i mówiła, że wyolbrzymia. Ona powie, że wtedy napadli ją naziści, którzy żądali, żeby się wyprowadziła, i wyzywali od najgorszych za to, kogo tu sprowadziła.

Janek z podobną reakcją (na szczęście bez cegły) spotkał się parę miesięcy temu. Szli z koleżanką przez park w Warszawie. Podszedł do nich mężczyzna, schludnie ubrany, w dobrze skrojonym trenczu, i krzyknął do dziewczyny: „Kurwa, a polskimi chłopakami to czemu się nie zajmiesz?”.

Nie tak dawno szedł z kuzynem we Wrocławiu. Podszedł człowiek o wyglądzie jak ze stereotypu: spory, głowa wygolona, kark wyćwiczony na siłowni. Nie chodziło tylko o telefon, który chciał im zabrać. Było wyzwisko „ty chinolu” i szarpanina. Napastnik uderzył kuzyna w twarz. Jankowi udało się zadzwonić po policję, przyjechała, ale napastnik uciekł. Rozłożyli ręce. Przy innej okazji składał zeznania na komisariacie, policjant zaczął na niego krzyczeć: „Jak wy traktujecie kobiety w twoim kraju?!”.

Jan na to: „Niech pan sprawdzi mój dowód. Mój kraj jest tutaj”.

Albo wtedy, kiedy dziadek odprowadzał go do metra. Zaczepił ich kloszard i zapytał dziadka: „A ty, kurwa, z Chińczykiem gadasz?”.

W warszawskiej komunikacji, w mieście, gdzie przecież jest dużo cudzoziemców, ciągle ktoś się na niego gapi. Jak wtedy, gdy jechał do szkoły, a naprzeciwko w autobusie siadły dwie starsze panie. Krzyżyk na szyi, więc katoliczki, członkinie również Kościoła Janka. Nagle jedna z nich rzuciła do drugiej: „Lepszego miejsca nie mogłaś znaleźć?” – i sugestywnie wskazała na niego palcem.

Ale najgorsze zdarzyło się wcześniej, w liceum.

DOM

Gdy Bonnie budzi się rano, myśli po polsku, podobnie kiedy prowadzi syna do przedszkola, a potem idzie do pracy albo rozmawia ze mną. W tym języku mówi do męża i syna (mieli nawet z mężem ambitny plan, by rozmawiać z nim też po angielsku, ale rozmył się

w zderzeniu z codziennymi obowiązkami), do przyszywanej polskiej mamy (czyli bizneswoman, która zaprosiła ją do Polski) i teściów. Na myślenie angielskie albo w rodzinnym dialekcie ndebele przestawia się, kiedy używa któregoś z nich przez dłuższą chwilę.

Gdy pytam ją, kiedy poczuła się Polką, milknie na dłuższą chwilę.

– Pytałaś o dziecko – mówi. – Franek urodził się pięć lat temu i chyba właśnie wtedy. Wzmocniła się moja polska część, bo jednak jestem pół na pół. Ale mój syn jest Polakiem, podobnie jak mąż Marcin, architekt i muzyk, który tu się urodził i wychował. To, że ich mam, dało mi poczucie przynależności. Polska to teraz już mój dom.

Nie miała z nią prosto. Gdy miała osiemnaście lat, porwał ją nastoletni bunt i wyprowadziła się z polskiego domu. Zaczęła sama na siebie zarabiać, pracować w kinie i knajpach. Pamięta, że musiała starać się trzy razy bardziej, bo Innemu patrzy się w Polsce na ręce. Albo że w którejś z prac, jakie miała na studiach, trzeba było w formularz wpisać osobę, którą należy zawiadomić w nagłej sytuacji. A jej przyszła do głowy tylko przyjaciółka, z którą wynajmowały mieszkanie. To był moment kryzysu.

– Czułam się obca, niezrozumiana i chciałam wyjechać. Już byłam gotowa na pakowanie walizki. Każdy człowiek potrzebuje poczucia przynależności, a ja wtedy czułam, że do niczego nie przynależę, bo nie mam tu nikogo, jestem kompletnie sama.

Potwornie tęskniła za Afryką i zbierała pieniądze na bilet powrotny. Właściwie była już gotowa do drogi, kiedy poznała Marcina.

– Gdyby nie to, pewnie bym wyjechała. Wtedy też poprawiły się relacje z moją polską mamą, no i nagle miałam teściów, którzy mnie bardzo dobrze przyjęli. Przestawiłam sobie w głowie, że teraz tu mam dom, bo tu jest moja rodzina.

Studiuje psychologię zarządzania, pracuje jako handlowiec i jest jedną z twarzy małej poznańskiej firmy odzieżowej – na zdjęciach uśmiecha się szeroko, a jej ciemne oczy są wyjątkowo błyszczące.

PIEROGI

Van Anh jako dziecko była przekonana, że jest po prostu Polką. Z czasem pytanie, kim czuje się bardziej, pojawiało się coraz częściej i było frustrujące. Od jej kolegów o nieazjatyckim wyglądzie nikt nie oczekiwał wyboru tożsamości. I jak właściwie miałaby swoją polskość bądź wietnamskość mierzyć? Proporcją ryżu zjedzonego w stosunku do ziemniaków?

Na wycieczce szkolnej klasa może na Śnieżce przejść na czeską stronę, Van Anh nie, bo nie ma polskiego obywatelstwa ani dowodu, jedynie wietnamskie. O polskie według przepisów może się starać od osiemnastego roku życia. Ale w tamtym czasie prawo działa tak, że musiałaby się zrzec wietnamskiego, i ona nagle dochodzi do wniosku, że tego nie chce. Bo czy mogła z dnia na dzień stwierdzić, że już nie czuje się Wietnamką, choć jej wietnamskość wyraża się raczej w małych rzeczach, jak to, że bardzo potrzebuje mieć w domu garnek do ryżu i pałeczki. Chciałaby

dodać, że także w typowym w Wietnamie przymusie więzi rodzinnych, ale w Polsce też go obserwuje, więc to żaden wyróżnik.

No i przecież Polakiem nie stajesz się dlatego, że ktoś podpisze dla ciebie ten dokument. Ona ma za sobą wiele lat życia tutaj, uczenia się języka i zapuszczania korzeni, ma wszelkie polskie cechy, poza wyglądem i tym kawałkiem papieru. Polką z papierkiem zostanie kilka lat później, kiedy przepisy się zmienią i będzie mogła mieć obywatelstwo podwójne.

– Nie było momentu, w którym świadomie wybrałabym, że jestem Polką – mówi. – Nie lubię tego podziału i przypisywania konkretnej tożsamości narodowej. Dla siebie jestem Polką, ale nigdy nie będę nią do końca, to jest taki stan na pograniczu.

W ogóle jest przeciwna temu, by prosto określać, czy ktoś jest Polakiem, czy nie, bo nie wiadomo, jakie miałyby być kryteria. Nie ma też jednej polskości, jesteśmy zróżnicowani, bo innym Polakiem jest ten, kto wychował się w Warszawie, a innym ktoś z podlaskiej wsi. No i dużo podróżujemy, przyjmując z zachodniej kultury wiele zachowań.

– Znajomy Koreańczyk miał kiedyś talerz z pierogami ruskimi i z kapustą, a strasznie ruskich nie lubił, więc poprosił, żebym powiedziała mu, które są które. Spojrzałam i wiedziałam. Dla niego to był wyznacznik polskości, że bez rozkrojenia potrafię oddzielić pierogi ruskie od kapuścianych.

Przypomina sobie też, jak kiedyś chciała kupić bluzę z orłem i któryś ze znajomych stwierdził, że jak ją

założy, to będzie prowokacja. Brzmi absurdalnie, ale ten symbol zawłaszczyli ludzie o skrajnych poglądach.

WYZEROWANA

Czy kiedy państwo polskie uzna Bonnie za swoją obywatelkę, będzie to znaczyć, że jest Polką jeszcze bardziej? Bonnie przyznaje, że kiedyś jej na tym obywatelstwie nie zależało, od kiedy ma syna – tak. Ale w Polsce sprawa nie jest prosta.

– Trzeba tu mieszkać pięć lat, by złożyć wniosek o stały pobyt. Obywatelstwo to kolejny krok – wyjaśnia. – Chciałam złożyć papiery po ośmiu latach tu, kiedy poznałam już męża i zdecydowałam, że zostaję. Ale wtedy pobraliśmy się i tamte lata mi się wyzerowały, bo teraz podlegam pod inne prawo. Więc musiałam odczekać kolejne cztery lata.

Dopiero od niedawna znów może składać wniosek, na razie o stały pobyt, i właśnie zamierza to zrobić.

– Czy jestem polską patriotką? – zastanawia się Bonnie. – Pamiętam, jak kiedyś w pubie jakiś cudzoziemiec źle mówił o Polkach, a ja go ochrzaniłam, żeby nas nie obrażał. To chyba był objaw patriotyzmu. Ale czy chciałabym należeć do patriotów, tak jak się dzisiaj ich rozumie? Im nie zależy na dobru wszystkich, tylko na zemście. Dla nich hasło „Polska dla Polaków” to patriotyzm, dla mnie rasizm, ksenofobia, antysemityzm. Ci, którzy się pod nim podpisują, nie mają pojęcia o świecie i polityce, bo czy możesz traktować poważnie kogoś, kto będąc jako imigrant w Szwecji, demonstruje przeciw imigrantom? A to właśnie robili polscy narodowcy. Zresztą podobnie

jest w Zimbabwe, gdzie jako spadek po apartheidzie patriotyzm oznacza gloryfikację czarnej rasy.

CZYM TA ZIEMIA?

Jan zaprasza mnie do mieszkania, tego, pod którym mama dostała kiedyś cegłą. Wtedy mieszkali tu we trójkę z rodzicami. Potem przez pewien czas stało puste. Parę miesięcy temu wprowadził się Jan. Pokoje podnajmuje kolegom, bo mieszkanie jest spore i drogie w utrzymaniu.

Dzień jest pochmurny i zimny, a na trzynastym piętrze wiatr tłucze o szyby i wciska się przez szpary. Wąski korytarz, nad szafką wisi nieduży obraz. Mężczyzna o skośnych oczach i ciemnych włosach i podobny do niego mały, pucołowaty chłopiec. Podpis: BARDZO KOCHAM CIĘ, SYNKU. Prezent od taty, malowany ze zdjęcia zrobionego gdzieś na lotnisku, choć pomysłowy malarz umieścił w tle zielone drzewo. To ojciec nadał Jankowi trzecie imię: Ji-Hoon.

Ten obraz przypomina Jankowi bolesną część rodzinnej historii, która, jak mówi, zakończyła jego dzieciństwo.

Tata Janka urodził się w Korei w małym miasteczku na południe od Seulu. Mama, polska tłumaczka przysięgła z koreańskiego, była w tym kraju na wymianie studenckiej. Tak się poznali. Był schyłek PRL-u, a potem fala zmian w Europie, gdy zamieszkali w Polsce. Rozstali się, gdy Jan miał jedenaście lat, dwa lata później wzięli rozwód. Powód: odmienność kulturowa. Dla mamy koreańskie podejście do małżeństwa i wychowania dzieci okazało się jednak zbyt surowe i patriarchalne. Tata w Polsce

został, osiadł we Wrocławiu, gdzie przy fabryce LG powstała koreańska diaspora. Była żona doprowadziła do tego, że miał sądowy zakaz kontaktów z synem, choć Janek domagał się, by przynajmniej do niego zadzwonić. To wtedy ojciec przez psycholog, do której Janek chodził na terapię, przekazał mu obraz. Matka nie chciała malowidła w domu, trafiło na osiem lat do mieszkania w bloku na Żoliborzu, które tata wynajmował (tego, gdzie dziś mieszka Jan z kolegami). Syn zaś zamieszkał z matką i jej rodzicami, a w jego głowie rozpoczęła się wojna polskości z koreańskością.

– Czułem, że polska strona mnie zawiodła, nie mam z jej strony opieki i wsparcia, ani w rodzinie, ani w szpitalu, gdzie miałem terapię.

Wtedy, po raz jedyny w życiu, Janek pomyślał, że nie warto być Polakiem i nie chciał mieć z polskością nic wspólnego. Ale nie trwało to długo.

ZRÓBMY TO RAZEM

Ku konsternacji rodziców Van Anh nie idzie drogą przewidzianą dla porządnego wietnamskiego dziecka wychowanego w Polsce. Choć bardzo uzdolniona matematycznie, nie wybiera ekonomii ani zarządzania, ale socjologię, a potem, zamiast włączyć się w rodzinny biznes handlowy, budować swój sukces i zamożność, zaczyna pracę w organizacjach pozarządowych.

Pytam, czy traktowała to jak danie czegoś od siebie Polsce.

– Raczej drugiemu człowiekowi. Mam w sobie potrzebę działania społecznego. Lubię się dzielić wiedzą, uczyć, lubię pracować dla ludzi. Mogłabym działać w biznesie, a jednocześnie nie wyobrażam sobie pracowania tylko i wyłącznie dla pieniędzy.

Pewnie dlatego dziś ma wprawdzie własną firmę, ale nic nie sprzedaje, tylko prowadzi warsztaty programowania dla dzieci.

Partią Razem zainteresował się najpierw jej chłopak. Ona też zgadzała się z jej postulatami. Poszła ze znajomą na spotkanie, a kiedy dyskusja zeszła na zapełnienie list kandydatami, pomyślała, że skoro uważa, że w sejmie powinni się znaleźć młodzi i osoby o jej poglądach, to chyba najlepszym wyjściem będzie startowanie. Znalazła się na czwartym miejscu warszawskiej listy i zdobyła 1894 głosy w samej stolicy (ludzie głosowali na nią też korespondencyjnie, choćby z Irlandii, Norwegii i Kanady). O ponad tysiąc więcej niż Joanna Erbel, która kandydowała wcześniej w wyborach samorządowych na prezydenta miasta. I o 911 więcej niż Witold Tumanowicz, organizator Marszu Niepodległości.

CZYM ZDOBYTA?

Janek pamięta taką sytuację z dzieciństwa, gdy byli jeszcze pełną rodziną. Siedzą z rodzicami przed telewizorem, a na murawie Koreańczycy grają z Polakami w piłkę nożną. Matka kibicuje Polsce, ojciec Korei, i każde z nich półżartem cieszy się z potknięć drugiej strony, a Janek zaciska kciuki, żeby piłkarze obu stron nie mogli trafić, bo liczy na remis. Nie chce wybierać.

– Tożsamość polską i koreańską siłą rzeczy dostałem z chwilą urodzenia, lecz trudno mówić o wyborze jednej. Jestem Koreańczykiem, ale zawsze i niezmiennie w pierwszej kolejności Polakiem. Bo jednak mam mentalność *stricte* polską. To efekt urodzenia i wychowywania się w Polsce, ale i szczerej miłości do tego, co polskie – mówi. – Boli mnie, że ludzie odmawiają mi mojej polskości, mówią, że jest udawana, sztuczna, że prawdziwa jest tylko ta w czystych genach.

– Korea? – zastanawia się dalej. – Rozumiem po koreańsku i umiem czytać w tym języku, ale mówić i pisać już nie. Czuję związek z tym narodem i krajem, ale jednocześnie jest on dla mnie obcy kulturowo, różnice są zbyt duże na każdej płaszczyźnie życia.

Rodzina mamy twardo stoi na stanowisku, że Janek jest Polakiem. Tata nie to, że polskości Janka nie uznaje, ale jej nie zauważa. Dopiero z listu syna do gazety dowie się, że ten ma z nią jakiś problem. I będzie zdumiony. Dziadkowie po publikacji powiedzą wnukowi, że ładnie napisał. I skomentują: „Czy ty nie przesadzasz?".

Z mamą, od kiedy wszedł w wiek nastoletni, nasiliły się konflikty. Na tyle wyraźne, że Jan w pierwszej klasie liceum na własne życzenie trafił do ośrodka socjoterapii, bo wpadł na pomysł, że to będzie azyl, który pozwoli mu się oderwać od problemów, nim skończy osiemnaście lat. Pomysł, jak się okazało, fatalny.

W ośrodku spotkał chłopaków, którzy mówią o sobie „patrioci" (Janek myśli o nich: „neonaziści

i zwyrodnialcy”). Rysują na murach swastyki i krzyż celtycki oznaczający Białą Siłę. Starał się ich unikać, ale kiedy przechodził przez bramę ośrodka, słyszał wyzwiska. Kiedy był jego dyżur porządkowy, tamci brudzili w kuchni, tak że Janek sprzątał do drugiej w nocy. Raz w kilku wpadli do jego pokoju i zaczęło się wyzywanie. Poprosił, żeby wyszli, to rzucili go na łóżko i dali w twarz („Czemu zawsze biją w twarz? – zastanawia się. – Chyba dlatego że to człowieka upokarza”). W pokoju naprzeciwko siedziała wychowawczyni, jedne i drugie drzwi były otwarte. Zapytał: „Czemu pani nic nie zrobiła?”. Ona: „Nic nie widziałam”. Kiedyś podsłuchał, jak w pokoju nauczycielskim nazwała go „żółtkiem”. Inna użyła wobec niego słowa „kundel”.

Po roku w ośrodku Janek przenosi się do taty do Wrocławia, tam kończy liceum. Na studia wraca do Warszawy.

TA OBCA

Bonnie najbardziej dziwi, kiedy poznane gdzieś przypadkowo kobiety są zaskoczone, że jej mąż zainteresował się nią i chce z nią być. „Tu się urodził, jest biały?” – dopytują, jakby nie mogły pojąć, że może być atrakcyjna dla polskiego mężczyzny. Nigdy nie zdarzyło się jej usłyszeć czegoś podobnego od faceta. Dlaczego, nie ma pojęcia. Dodaje za to, że koledzy o jej kolorze skóry, którzy żyją w Polsce, mają znacznie gorzej niż dziewczyny. Niejednemu zdarzyło się dostać albo mieć nóż na gardle. A jej czy ciemnym koleżankom grożą najwyżej wyzwiska i złośliwe komentarze, typu „małpa” albo: „wracaj na drzewo”.

Ją „małpa" dosięgła na samym początku, po dwóch miesiącach w polskiej szkole, gdy w czasie wycieczki dziewczyny z klasy kazały jej się tak określić. Tłumaczyły, że znaczy to „ładna dziewczyna".

– To były dziecięce wygłupy, nie rasizm, wiadomo, dzieci są złośliwe i okropne – mówi. – Ale ja nigdy nie byłam w grupie tych, nad którymi się znęcano. Gorsze rzeczy dzieją się w dorosłym życiu. Bo nie jest fajne, że kiedy idę po rodzinnym Poznaniu, który od lat ma opinię miasta wyjątkowo tolerancyjnego, i natykam się na marsz przeciw uchodźcom, odwracam się i uciekam, żeby przypadkiem nie znaleźć się na linii ognia. Raz, że w dwudziestym pierwszym wieku mamy taki marsz, dwa, że mieszkając tu trzynaście lat, muszę uciekać.

– Czy *Dziady* umocniły mnie w polskości? – zastanawia się. – Nie wiem. Niby powinny, bo to bardzo polski tekst, ale z drugiej strony jestem cały czas tą obcą, której zdaniem społeczeństwa nie powinno tu być, bo nie jest nasza. Tak to odbieram. Czuję, że muszę udowodnić, że to jest moje miejsce i mam prawo tu być, bo też żyję w Polsce i nie można mnie traktować jak powietrza.

EPILOG.

List II

Pytam Janka, jak myśli, dlaczego Polska nie chce tego, co chciałby jej dać.

– Gdy pisałem tamten list, przejmowałem się tym. To wszystko było takie burzliwe. Teraz wiem, kim

jestem i jaka jest moja misja tu. Mam cel i tego się trzymam.

Myślenie o wojsku mu przeszło. Od września studiuje prawo. Bo prawo w jego przekonaniu walczy o sprawiedliwość, którą Jan rozumie, według definicji rzymskiej, jako stałą i niezmienną wolę oddania każdemu tego, co mu się należy. Jako patriota chce ratować uniwersalne wartości, a nie prężyć się do hymnu. Zostanie sędzią i będzie wymierzać sprawiedliwość rasistom. Boi się tylko, że karanie takich ludzi zacznie mu sprawiać przyjemność i sprawiedliwość zastąpi chęć zemsty. Do tego nie chce dopuścić.

– Kiedyś bycie Polakiem to była może trochę taka pusta duma – dodaje na pożegnanie.

– A teraz?

– Zaczynam to sobie ugruntowywać. To znaczy być dobrym człowiekiem, kultywować w sobie najlepsze wartości dawnej polskości, która była postrzegana jako ostoja tolerancji, wyrozumiałości, demokracji i koegzystencji różnych kultur. Na tym polegało piękno Rzeczypospolitej. Nie lubię stwierdzenia „Polska", bo jest uproszczone, wolę „Rzeczpospolita", bo to bardziej podniosłe, ma swój blask.

A po spotkaniu wysyła jeszcze maila. List długi na cztery strony. Pisze: „Polskość to dla mnie pewna rycerskość, postawy, które dziś są rzadkie, a były zaaprobowane i chwalone przez przodków […], to ciche stworzenie, bardzo piękne, taki obrońca siedzący w duszy i konserwator starych, prawdziwie czystych, polskich wartości […], ale choć jestem właściwie

stuprocentowym Polakiem, trudno mi ją uchwycić i zdefiniować”. Dodaje, że rozumie, że w sumie to mało konkretne i bardzo romantyczne. Przyznaje się też, że wrzucił w wyszukiwarkę hasło „czym jest polskość”. I też niewiele to dało.

POST SCRIPTUM

Kiedy kończę ten tekst, media podają informację, że Polska zyskała nowego obywatela. Został nim izraelski pisarz Etgar Keret. Czy można go uznać za prawdziwego Polaka? Nie mówi po polsku, tylko po hebrajsku (w tym języku też pisze), ale w domach rodzinnych jego rodziców, pochodzących z Polski, jak najbardziej polszczyzny się używało, a pisarzowi bardzo na tym obywatelstwie zależało. Wiadomość o jego nadaniu przyszła do skrzynki pocztowej reportera Pawła Smoleńskiego, który jest z Keretem zaprzyjaźniony. Kiedy wysłał mu w tej sprawie maila, pisarz odpisał: „Jestem obywatelem dwóch krajów, których obecne władze, jak to się elegancko mówi, uważane są przez wielu swoich obywateli, jak i ludzi na całym świecie, za co najmniej kontrowersyjne. Mam więc ten komfort, który winien być udziałem każdego Izraelczyka i Polaka (Włocha, Szweda, Amerykanina), że jeśli rząd jednego z moich krajów nabroi (że nabroi, jestem tego pewien) więcej niż drugiego, zawsze mogę powiedzieć, że to mój drugi rząd, a nie pierwszy. Mogę więc – i jestem – być dumny z Polski, jak i z Izraela, a jednocześnie nie czuć się odpowiedzialny, co jacyś urzędnicy robią podobno w moim imieniu, a to znakomicie redukuje poczucie wstydu”[5].

[5] Paweł Smoleński, *Etgar Keret został Polakiem. Mamy nowego sławnego pisarza*, http://wyborcza.pl/1,75475,19718672,etgar-keret-zostal-polakiem-mamy-nowego-slawnego-pisarza.html#ixzz4244b1d7m [dostęp: 5.03.2016].

KAJA PUTO, ZIEMOWIT SZCZEREK

DZIĘKI BOGU, ŻE JEST INTERNET

„Dzięki Bogu, że jest ten internet – cieszy się Aneta, która nie wierzy już żadnym innym mediom. – Że ktoś prowadzi ten fanpejdż – dodaje. – Że my, Polacy, możemy się wspierać w tych strasznych czasach”.

Za komentarz zamieszczony na fanpejdżu „Stop islamizacji Europy” Aneta otrzymuje sześćset siedemdziesiąt osiem lajków. Głosy poparcia płyną z całej Polski: internauci wypisują miasta, które są tego samego zdania co Aneta. Gryfino, Tarnobrzeg, Siedlce, Zabrze, Olkusz i Mława są twórcom fanpejdża ogromnie wdzięczne za postowanie wolnych od politycznej cenzury informacji.

Bo gdyby nie fanpejdż „Stop islamizacji Europy”, Gryfino, Tarnobrzeg i Siedlce żyłyby w błogiej nieświadomości. Tuż obok, a od Gryfina to wręcz rzut beretem, kończyłby się świat: domy obracałyby się wniwecz, szkoły – w popiół, a miejsca pracy – w zgliszcza. Żądni zbrodni najeźdźcy z Bliskiego Wschodu docieraliby już do granic Polski, a nieświadoma niczego Aneta szykowałaby się na majówkę w Tropical Island, ogromnym aquaparku pod Berlinem.

„Mieliśmy już rezerwację na bilety dla całej rodziny – śmieje się ze swojej naiwności. – Ale w tej sytuacji, rzecz jasna, nigdzie się nie wybieramy”.

Bo jest, dzięki Bogu, internet, więc Aneta dobrze wie, że za zachodnią granicą Polski toczy się regularna wojna. Zorganizowani w bojówki, uzbrojeni po zęby imigranci z Bliskiego Wschodu egzekwują w centrach miast prawo szariatu, a policja chowa się bezsilna w koszarach. Z aptek znikają środki na

potencję: młodzi mężczyźni faszerują się nimi, by gwałcić kobiety, dzieci i zwierzęta. W niemieckich szkołach wykłada się już tylko po arabsku, a zajęcia pozalekcyjne ograniczają się do nauki Koranu.

„A baseny – tonie w lajkach Aneta – służą Arabom za toalety".

Wszystkiemu winna jest Angela Merkel, prywatnie wnuczka Adolfa Hitlera. Pod pozorem szacunku dla praw człowieka realizuje misterny plan. Za eksterminację rdzennych Europejczyków otrzymuje pieniądze od Sorosa, mściwego Żyda, który nienawidzi Europy, a najbardziej Polski. Kiedy islamizacja Europy się dokona, Soros i Merkel popłyną luksusowym jachtem do Dubaju, gdzie zamierzają wspólnie spędzić emeryturę na jednej ze sztucznych wysp.

„Należące do niemieckich koncernów media milczą – powtarza Aneta, gdy dyskusja pod jej komentarzem powoli cichnie. – Ale my, Polacy, się nie poddamy. Będziemy głosić prawdę na własną rękę. Będziemy się bronić".

Kryzys migracyjny w Europie nasila się już od jakiegoś czasu, ale w Polsce stał się tematem numer jeden dopiero w chwili, gdy do internetu trafiły zdjęcia z dworca Keleti w Budapeszcie, opanowanego przez uchodźców. Keleti jest wystarczająco blisko i jest wystarczająco swojski (wielu Polaków zna ten dworzec dobrze, był bowiem ważnym miejscem na polskim szlaku handlowym z początku lat dziewięćdziesiątych). Do polskiego internetu dobił

histeryczny strach przed „barbarzyńcami stojącymi u bram”.

A im głębiej w kryzys uchodźczy, tym gorzej się robiło. Jakakolwiek rzetelna i odpowiedzialna debata na ten temat na szerszym forum publicznym okazywała się niemożliwa. „Gazeta Wyborcza” wyłączyła możliwość komentowania newsów dotyczących imigrantów, nie chcąc brać udziału w szerzeniu rasistowskich treści. Ale, w końcu, kto wierzy „Wyborczej”? Blastingnews.com i Sputniknews.com są o wiele bardziej zaufanymi źródłami informacji.

Codziennie do tysięcy Polaków za pośrednictwem mediów społecznościowych docierają gigabajty fałszywych informacji, plotek, zmanipulowanych filmików i teorii spiskowych. Posty publikowane na fanpejdżach w stylu „Stop islamizacji Europy” są przede wszystkim fałszywkami o zbrodniach popełnianych przez imigrantów z Bliskiego Wschodu. Każda informacja tego typu zbiera setki lajków, komentarzy i szerów (w internetowym slangu: udostępnień). Rzadkie próby dyskusji z wiarygodnością przedstawionych faktów kończą się wirtualnym linczem.

Oto słowa klucze: imigrant, uchodźca, Bliski Wschód, islam. Działają na polski Fejsbuk jak dzwonek na psa Pawłowa. Na jednym z populistycznych portali informacyjnych ukazała się notka o czteroletnim Ahmedzie oskarżonym w Egipcie o potrójne morderstwo. Oprócz mordów sąd zarzucił chłopcu zakłócanie porządku i niszczenie mienia publicznego. Na samym dole newsa zamieszczono

wyjaśnienie: oskarżenie chłopca było pomyłką sądową, mały Ahmed został uniewinniony. Ale kto czyta newsy do końca?

Pierwszy komentarz brzmiał tak:

„I po co żyją na świecie takie robale? Rozdeptać”.

Kolejny był łagodniejszy:

„Zabić tych skurwieli, którzy zmusili do tego niewinne dziecko, mózg mu zlasowali”.

Obrońcy dziecka zarzucono lewacką relatywizację i dopiero po kilku kolejnych komentarzach pojawił się ktoś, kto zauważył, że tytuł jest mylący, a dziecko nikogo nie zamordowało. Nie powstrzymało to lawiny luźno związanych z tematem opinii:

„Mnie ogarnia po prostu zwykłe ludzkie wkurwienie, że te zachodnioeuropejskie cioty genderowe tak sobie dają wchodzić na głowę kozojebcom”.

„Masakra, jak tak dalej pójdzie, to oni się rozprzestrzenią, jak jakaś pierdolona szarańcza, aż nic z nas nie zostanie i jedynym wyjściem będzie spierdalać na Marsa, bo tylko tam nie ma tej pierdolonej ciapatej wszawicy”.

„Jest tylko jedna opcja, opcja pewnego malarza z Austrii: jak jest brudno, to trzeba posprzątać”.

I tak dalej. I tak długo. I tak w nieskończoność niemal.

Czy to jest margines debaty? Trolle? Frustraci? Skrajni nacjonaliści?

„Rozłożyłbym pole minowe na sto metrów od płotu, wieżyczki z miotaczami ognia, i straży dał kule zamoczone w świńskiej krwi. Ja bym wam, kurwy, dał moją granicę naruszać”.

Dziewięć lajków w trzy minuty.

Lajk numer 1: nauczyciel angielskiego, pracuje w gimnazjum, miłośnik powieści wiktoriańskich i *stand up comedy*, gra na basie w zespole rockowym.

Lajk numer 2: budowlaniec z czwórką dzieci, w wolnych chwilach słucha koncertów Led Zeppelin, lubi dobrą sensację, świetnie jeździ na nartach.

Lajk numer 3: pracownik starostwa powiatowego, poeta amator, publikuje w internetowych serwisach poetyckich i na blogu, laureat dwóch niszowych konkursów literackich.

Lajk numer 4: gimnazjalistka, wolontariuszka w stadninie koni, interesuje się hipoterapią, lubi czytać powieści Małgorzaty Musierowicz i oglądać *talent show*.

Lajk numer 5: specjalistka do spraw PR, freelancerka, prowadzi własną firmę, jest samotną matką, czyta blogi modowe i chciałaby kiedyś założyć swój.

Lajk numer 6: kierownik salonu telefonów komórkowych, buduje dom pod miastem, marzy o podróży Koleją Transsyberyjską, spędza dużo czasu z córkami.

Lajk numer 7: kelnerka w herbaciarni, studiuje zaocznie psychologię, interesuje się Indiami, słucha

muzyki elektronicznej, popiera legalizację związków homoseksualnych.

Lajk numer 8: student historii, miłośnik transportu publicznego, w wolnym czasie skleja modele kolejek, śpiewa w chórze kościelnym.

Lajk numer 9: Aneta. Ta, której przepadł weekend w Tropical Island.

Aneta jest pielęgniarką i pracuje w hospicjum. Ma dobry kontakt z pacjentami, którzy chętnie komentują jej posty na prywatnym profilu. Niedawno obchodziła urodziny, życzenia złożyło jej ponad dwieście osób. Aneta szanuje ludzi – „kochać znaczy rozpoznać siebie w drugiej osobie", głosi jej zdjęcie w tle – dlatego na życzenia odpowiedziała każdemu z osobna. W internetowym psychoteście wyszło jej, że jest osobą pozytywną. To widać, bo na fanpejdżu „Stop islamizacji Europy" nie daje się ponosić emocjom – metodycznie zagrzewa do walki z medialną propagandą, lajkuje, szeruje i uspokaja. Na przykład tak:

„Ludzie, czy wy nie widzicie, że oni już tu są? Musimy gnać to ciapate kurestwo i deportować z Europy, najlepiej na lodowiec" – histeryzuje Asia, uczennica warszawskiego liceum.

„Kochanie, w Polsce jesteś bezpieczna. Sama zobacz, ilu nas tu jest. Wszyscy są gotowi do walki" – odpisuje jej Aneta.

Asia już nic nie odpowiada. Chyba się przekonała, bo resztę wieczoru spędza na grze w *Candy Saga*.

Ale nie ze wszystkimi Anecie idzie tak łatwo. Na przykład z Markiem, który nigdy nie odpowiada na jej komentarze. Marek pracuje w jednej z warszawskich korporacji, poza tym ma dwójkę dzieci, więc nie ma czasu, żeby napisać coś dłuższego, a co dopiero odpisywać. Uaktywnia się co parę godzin i kontynuuje niekończący się monolog skierowany do Angeli Merkel:

„Ty pierdolona kurwo, żeby ci twoi kochani islamiści zgwałcili i wycięli całą rodzinę za te twoje poglądy!" – pisze rano.

„Trzeba ci ogolić łeb na łyso, zorganizować paradę w centrum Berlina, a potem publicznie rozstrzelać" – dodaje po południu.

„Hitlerowska kurwa, tak jest, rób tak nadal, a spalą cię na stosie na rynku, skończysz zlinczowana jako mięso armatnie, żeby ci mogli zrobić to, co planują dla nas od dawna, opłaca ci się taki koniec? Nazistowska chora kukło?" – puentuje wieczorem.

Następnego dnia Marek nie zamieszcza żadnych komentarzy, idzie z córkami na basen. Kolekcja zdjęć ze zjeżdżalni trafia na Instagram.

Byli tacy, którzy próbowali z tym walczyć, choćby terapią szokową. Temu miał służyć facebookowy profil „Freikorps Polen", który – za pomocą wstrząsających zestawień – miał zwrócić użytkownikom Facebooka uwagę na charakter mowy nienawiści.

Specyfika „Freikorps Polen" polegała na tym, że prawdziwe, pochodzące z polskich forów komentarze odnoszące się do uchodźców wklejano jako komiksowe dymki do zdjęć z czasów drugiej wojny światowej przedstawiających nazistów. Pod każdym zdjęciem

(i w nagłówku strony) zamieszczano informację, że „prezentowane wypowiedzi, mimo wszelkich podobieństw do retoryki III Rzeszy, należą do Polaków, zostały umieszczone w *social mediach* i dotyczą uchodźców z ogarniętych wojną krajów Bliskiego Wschodu szukających schronienia w Europie".

I tak żołnierz w hitlerowskim mundurze kopiący ładowanego na ciężarówkę człowieka mówi przeklejonym z któregoś z polskich komentarzy tekstem: „Do gazu z nimi… hahahaha". Na kolejnym zdjęciu inny Niemiec przemawia do zgromadzonych więźniów: „Ciapate świnie. Wybić to razem z matkami i dziećmi. Śmierć brudasom!". Na innym w usta esesmana wklejono komentarz: „Czekam, aż się zacznie narodowa rewolucja, żeby rozpierdalać to bydło niezależnie od płci i wieku". Naziści odchodzący od płonącej kamienicy mówią: „Nawet nie oglądam tych jebanych zwierząt pierdolonych, nadających się tylko do gazu".

W zdjęcie przedstawiające scenę rozstrzelania wklejono napis: STRZELAĆ BEZ ROZKAZU. TEGO BYDŁA NIE WYPĘDZIMY W ŻADEN HUMANITARNY SPOSÓB. A przemawiającemu Goebbelsowi wklejono tekst: „Kurwa, do gazu z tym ciapatym ścierwem. Gówno Polaka jest dużo więcej warte niż życie 1000 muslimów".

– Któregoś dnia zwyczajnie doszedłem do wniosku, że już nie mogę na to wszystko patrzeć – mówił Michał Michalski, jeden z założycieli profilu. – Na to szambo, które wylewa się z ludzi. To, co obserwowałem i niestety, obserwuję nadal, to jest po prostu

potworność, która wypływa z ludzi po raz kolejny. Potworność, jaką znałem do tej pory jedynie z filmów, książek i opowieści babci. Ta potworność mogła skojarzyć mi się wyłącznie z jednym. Zresztą słowa tych wszystkich ludzi, z których część, gdyby dać im pistolet do ręki, zapewne nic by nie zrobiła, ale część z pewnością skorzystałaby z okazji, niejednokrotnie odnosiły się bezpośrednio i otwarcie do tej największej potworności znanej chyba z historii. Pochwały pod adresem Hitlera i jego zbrodniarzy, peany na cześć metod ich działań i błagania, by to przywrócić, tylko że tym razem przeciw komuś innemu.

„Freikorps Polen" wytrzymał na Facebooku osiem godzin. Profil zbanowano.

– Fejs tak działa, że jak dużo osób coś zgłasza, to admin nie weryfikuje, czy to ma sens czy nie, tylko idzie za wolą tłumu – mówił Michalski. – A tłum poczuł się urażony, gdy pokazało mu się lustro. Nie mogłem i nie mogę nadal zrozumieć, skąd oburzenie w tych ludziach, którzy gdy ich własne wypowiedzi typu: „Hitler wiedział, co robi, trzeba to powtórzyć na tych brudasach", wstawić w usta prawdziwych nazistowskich katów, obrażają się, że to nie to samo. Że tamto to było co innego. Gówno. Jak oni nas, to źle, ale jak my kogoś innego, to super.

Twórcy profilu przenieśli na jakiś czas zdjęcia na Tumblra, ale potem zaprzestali walki.

– Było i jest mi niedobrze, gdy na to patrzyłem i patrzę. Można stracić wiarę w ludzkość, jak się tego za dużo przeczyta. Dlatego też przestaliśmy tworzyć nowe – mówi Michalski.

– Czytając hejty w internecie, sami stajemy się powolutku rasistami – mówi Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami przy Uniwersytecie Warszawskim. – Robiliśmy niedawno badania eksperymentalne, w których badani musieli bardzo długo oglądać fora internetowe z komentarzami zawierającymi mowę nienawiści (badani z grupy kontrolnej czytali fora internetowe pełne obraźliwych słów, ale niebędących mową nienawiści). Po jakimś czasie sprawdziliśmy ich postawy wobec obcych i ogólną wrażliwość na mowę nienawiści. Co nie było dla nas zaskakujące, ci pierwsi stali się mniej wrażliwi na mowę nienawiści. I do tego zmieniły się ich postawy: stali się bardziej uprzedzeni, deklarowali, że nie zaakceptowaliby muzułmanina jako swojego sąsiada czy współpracownika.

Albo, na przykład, współużytkownika basenu. Gdy Park Wodny Koszalin zamieścił na swoim facebookowym profilu zdjęcie kobiety w burkini (muzułmańskim stroju kąpielowym zakrywającym ciało), fala hejtu o mało nie zerwała z Parku Wodnego dachu. Pisano o „zarazkach i bakteriach" w wodzie pochodzących z burkini, o „możliwości przeprowadzenia zamachu bombowego" przez kąpiących się w basenie muzułmanów – nie widać przecież, co mają na sobie.

Park Wodny Koszalin najwyraźniej pękł: na profilu nie można już znaleźć tego zdjęcia, jest natomiast następujące oświadczenie:

„W nawiązaniu do zdarzenia nagłośnionego w dniu 14 lutego 2016 roku należą się Państwu słowa wyjaśnienia. Nasz obiekt odwiedziła kobieta ubrana

w strój kąpielowy, który wzbudził wśród Państwa duże kontrowersje. Osoba przedstawiona na rozpowszechnianym od kilku dni zdjęciu ubrana była w obowiązujący w kulturze muzułmańskiej strój kąpielowy (burkini). Podobnie jak w przypadku kultur zachodnich, nie jest to strój codzienny, a przeznaczony wyłącznie do zażywania kąpieli. Obsługa Parku Wodnego Koszalin stwierdziła częściową niezgodność stroju kobiety ze zdjęcia z Regulaminem Ogólnym Parku Wodnego Koszalin, ponieważ strój nie był wystarczająco przylegający. W trosce o komfort naszych klientów w przyszłości obsługa będzie zwracała na ten fakt baczniejszą uwagę. Chcielibyśmy uspokoić osoby zaniepokojone niedotrzymaniem standardów higieny. Park Wodny Koszalin jest pod stałym nadzorem inspektorów sanepidu. Obowiązujące nas parametry czystości wody są zachowane".

Pod postem znów zawrzało.

„Czy woda została już w całości wymieniona?" – chciał się dowiedzieć użytkownik Fejsbuka.

Wydawałoby się, że politycy podejdą do sprawy rozlewającego się internetowego hejtu w sposób odpowiedzialny i nie będą napędzać obsesji i paranoi. Tak się nie stało.

Jednym z poważniejszych tankowań dla rasistowskiego hejtu przeciwko uchodźcom były słowa Jarosława Kaczyńskiego, prezesa Prawa i Sprawiedliwości, gdy w czasie parlamentarnej kampanii wyborczej mówił o „imigrantach roznoszących zarazki": „Są już przecież objawy

pojawienia się chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie" – stwierdzał. I wyliczał: „Cholera na Wyspach Greckich, dyzenteria w Wiedniu, niektórzy mówią o jeszcze innych, jeszcze cięższych chorobach. No i są pewne przecież różnice związane z geografią – różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, [ale] mogą tutaj być groźne. To nie oznacza, żeby kogoś dyskryminować, ale sprawdzić trzeba".

Czasami atmosfera pod postami na fanpejdżu „Stop islamizacji Europy" się rozluźnia.

„Jak byłam mała, babcia miała koguta w zagrodzie, który nie umiał się dostosować do innych kogutów i kur. Ciągle dziobał się z innymi i ranił kury. Któregoś niedzielnego dnia babcia – kobieta w domu! – zrobiła z tym porządek i był rosół na obiad".

Dwanaście lajków.

„Ja to bym ich nawet kijem nie tknął".

Pięć lajków.

„Hhehehehehehehehhheeeh".

Siedem lajków.

„Ale z muslima rosołu nie zrobisz, oni to się tylko na kebab nadają".

Dziewięć lajków.

„Może się nie zrobi rosołu, ale kobieta zawsze coś dobrego wymyśli".

Osiem lajków.

Wśród dziesiątek awatarów składających Anecie urodzinowe życzenia majaczy jeden podejrzany: zielona plansza z napisem UCHODŹCY MILE WIDZIANI. Należy do Asi, warszawskiej aktywistki miejskiej. Asia szybko odpisuje na moją wiadomość.

„Aneta to moja ciotka, a właściwie ukochana ciocia. Zamienia rodzinne spotkania w piekło, bo kiedy wyciąga telefon, by zaprezentować nową galerię zdjęć z egzekucji niewiernych dokonanych przez islamistów, wszyscy kiwają z przerażeniem głowami i domagają się ode mnie komentarza. Staram się zachować cierpliwość i opowiadam o znajomych muzułmanach, pokazuję nasze wspólne zdjęcia z imprez. Nic to nie daje, a wręcz pogarsza sprawę, bo zaczyna się dyskusja o tym, czy w ogóle powinnam się narażać, wychodząc z nimi na imprezy. Ostatnio pokazałam cioci, co napisał mi w prywatnej wiadomości jej znajomy: że jestem głupią kurwą, która musi puszczać się z obcymi, bo żaden Polak mnie nie chce. Od tamtej pory rzadziej porusza temat uchodźców, ale efekt jest taki, że nie rozmawiamy ze sobą w ogóle. Wiem, że ta wiadomość sprawiła jej przykrość, ale jestem pewna, że nie odważyła się na rozmowę z tym człowiekiem” – opowiada Asia.

Szlam internetowego hejtu zaczyna oblepiać nie tylko polskie stoły, lecz także ulice. Co jakiś czas przez portale z wiadomościami i media społecznościowe przetaczają się informacje o pobiciach osób o ciemniejszej skórze, często nie tyle będących muzułmanami, ile branych za nich.

Brytyjski sikh Navjot Sawhney na przykład, podróżnik, miał nieprzyjemną przygodę na ulicy

Szewskiej w Krakowie po tym, jak nie wpuszczono go do jednego z klubów. Nazwano go ponoć terrorystą, uderzono i zrzucono z głowy turban. Turban opluto. Wezwana policja próbowała, według Sawhneya, wytłumaczyć mu, że „tu jest Polska" i żeby nie spodziewał się jako ciemnoskóry, a do tego w turbanie, takiego samego traktowania jak na Wyspach. Polska policja twierdzi, że zdarzenie miało nieco inny przebieg. Nic nie wiedzą o pobiciu, bo ich wtedy na miejscu nie było, a nikt o nim przy nich nie mówił. Mariusz Ciarka, rzecznik policji małopolskiej, twierdzi ponadto, że „policjant prywatnie może nie lubić jakiejś nacji, ale musiałby być niepoważny, żeby tak powiedzieć na służbie", więc policjanci na pewno nie mogli mówić sikhowi o tym, że ciemnoskórzy są w Polsce traktowani inaczej. A poza tym, wynika z tłumaczenia Ciarki, to ten „brak takiego samego traktowania w Polsce, jak w Wielkiej Brytanii" na pewno dotyczył systemu prawnego, tylko sikh tego nie zrozumiał.

– On nie pojął naszego systemu prawnego – tłumaczył Ciarka dziennikarzom.

Pod newsami na ten temat zaczął się stary dobry hejt. „Sikhowie tak samo kłamią jak muslimy. Ja myślę, że on miał za zadanie właśnie zrobienie rabanu na tle rasowym, to są wyjątkowi cwaniacy i krętacze!" – pisał (a może trollował) w „Onecie" niejaki „Tia".

„Precz z tymi sku…: ja jestem uczulona, dostaję wysypki, patrząc na Turków i Indiańców, brawo, ochraniarz, brawo, policja" – pisał „dopreczewado".

Przypadki pobić się mnożą. W listopadzie 2015 roku w Poznaniu pobito Syryjczyka George'a Mamlooka. W centrum miasta, na głównym deptaku. Trzech mężczyzn rzuciło się na Mamlooka, nazywając go „śmieciem" i „pierdolonym muzułmaninem". A Mamlook jest chrześcijaninem, od dawna mieszkającym w Polsce. Niektórzy przechodnie kibicowali: „Zabijcie tego czarnucha!".

W lutym 2016 roku z kolei pobito Chilijczyka, pianistę i nauczyciela. Jego też wzięto za Araba. Wracał z koncertu swoich uczniów z Sochaczewa do Warszawy pociągiem Kolei Mazowieckich. W wagonie pobił go pijany, umięśniony łysy mężczyzna. Wybił mu ząb.

Innego Chilijczyka pobito w Poznaniu. To tancerz mieszkający w tym mieście od dziesięciu lat. Wszedł do lokalu z kebabami. Pobili go dwaj mężczyźni krzyczący: „Wypierdalaj z Polski!", „Polska dla Polaków!".

Michał Bilewicz pytany o powiązania pomiędzy internetową mową nienawiści a przemocą na ulicy, mówi, że dostrzega je wyraźnie.

– Tak, zdecydowanie te rzeczy są powiązane – ocenia. – To jest ewidentne, szczególnie gdy się wsłuchać w to, co krzyczą sami napastnicy. Przecież oni niezależnie od tego, czy biją syryjskiego chrześcijanina, Chilijczyka, Argentyńczyka, Hindusa, to zawsze wykrzykują te same islamofobiczne hasła. To są klasyczne *hate crimes*, zbrodnie z nienawiści, powodowane rozpowszechnionym językiem nienawiści. Ataki rasistowskie pojawiają się wtedy, gdy jest

przyzwolenie na nie. Zalew mowy nienawiści w internecie tworzy poczucie takiego przyzwolenia. Skoro jest tego tak dużo, a nikt tego nie usuwa (może poza „Gazeta.pl” w czasie kryzysu uchodźczego), to znaczy, że wolno, że nie jest to karalne. Że wszyscy tak myślą. I to się przekłada potem na postawy i zachowania.

Wpływ mowy nienawiści na sytuację w Polsce potwierdza również rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Uważa, że wpływ ten widać wyraźnie.

– Mniej więcej raz na dwa tygodnie można odnotować pobicie na tle rasowym – mówi rzecznik. – Jeśli chodzi o organizacje pozarządowe, to trzeba wskazać trzy sytuacje: atak werbalny i internetowy na Joannę Grabarczyk z HejtStop (co oczywiście może odstraszać od działalności), atak na Dariusza Paczkowskiego z Fundacji Klamra, głównie poprzez wulgarne plakaty i napisy w jego regionie, ataki na siedziby Lambdy oraz Kampanii Przeciw Homofobii (KPH).

Na warszawską Lambdę tylko przez dwa miesiące 2016 roku zdążono już napaść dwa razy. Na drzwiach wyryto krzyż celtycki i napisy WHITE POWER oraz ZAKAZ PEDAŁOWANIA. Do KPH wtargnięto z okrzykami o „cwelach” i „pedałach”.

– Dziwi mnie, że partie polityczne praktycznie milczą – mówi Bodnar. – Ataki na imigrantów i nie tylko nie spotykają się z publicznym potępieniem. Jakby politycy czekali, aż zaczną się mordy na tle rasowym. Tego się bardzo obawiam.

Aneta z dziennikarzami rozmawiać nie będzie, naiwna nie jest.

„Nie dam się wykorzystać tej waszej propagandzie. Skończył się czas lewackich kłamstw" – ucina rozmowę w okienku czatu.

Skąd Aneta wie, że wiadomości, które komentuje, nie są kłamstwami? Że nóż syryjskiego uchodźcy znalazł się w brzuchu ciężarnej nastolatki, a sama nastolatka – w rowie przy bawarskiej drodze? Że przez granicę strefy Schengen maszerują uzbrojone oddziały islamistów, wzbudzając popłoch fronteksowych pograniczników? Że w Erytrei źli ludzie smarują głowy uciekinierów maścią z bakteriami, które wywołują śmiertelne dla rdzennych Europejczyków choroby?

„Nie potrzebujemy już waszych gazet, bo jest ten internet – rzuca Aneta na odchodnym i daje mi bloka. – Polacy dowiedzieli się prawdy. Teraz mogą działać".

SŁOWNICZEK POJĘĆ:

admin – administrator strony internetowej, tutaj: fanpejdża

awatar – tożsamość internetowa, tutaj: towarzysząca komentarzowi miniaturka zdjęcia profilowego

ciapaty – pogardliwie o muzułmaninie

dać bloka – zablokować innemu użytkownikowi możliwość kontaktu

fanpejdż – strona na Facebooku promująca osobę, firmę, ideę i tak dalej

Fejsbuk, Facebook, fejs – największy na świecie portal społecznościowy

hejt – obraźliwy komentarz

lajk – funkcja Facebooka pozwalająca użytkownikowi na wyrażenie poparcia dla posta, komentarza lub fanpejdża

muslim – pogardliwie o muzułmaninie

njus, news – informacja agencyjna, prasowa lub radiowa

post, postowanie – list elektroniczny zamieszczony na forum dyskusyjnym lub w sieci społecznościowej

szer, szerować – udostępnienie informacji innym użytkownikom sieci społecznościowej

troll – prowokator

trollować – celowo zamieszczać kontrowersyjne komentarze

MAGDALENA KICIŃSKA

ZDARZENIE

[albo rzecz o banalności zła]

„Jakież to smutne” – powiedział recenzent zbioru reportaży z 1988 roku *Bije, znaczy kocha* o przemocy wobec kobiet.

Areszt śledczy miasta X do Teresy D., 24 lutego 2014 roku:

„Zwracamy się z uprzejmą prośbą o szczere odpowiedzi na pytania zawarte w niniejszym wywiadzie, który został opracowany w celu zebrania materiału służącego do określenia programu resocjalizacji [byłego] współmałżonka, mając na uwadze jego dalsze losy i dobro jego rodziny. Ze względu na obowiązujące nas terminy prosimy o zwrot wypełnionego wywiadu najpóźniej w ciągu 14 dni. Gdyby zechciała pani napisać więcej na temat [byłego] męża, niż wymagają tego pytania, prosimy dołączyć dodatkową kartkę”.

Aneta D., mailowo:

„W związku z otrzymaną korespondencją – wywiad w sprawie Tomasza D., w celu wypełnienia przez [byłą] współmałżonkę – chciałam poinformować jako córka, iż moja mama Teresa D. została zamordowana przez Tomasza D. Tak więc wypełnienie wywiadu nie będzie możliwe”.

JAK SIĘ BABY NIE BIJE, TO JEJ WĄTROBA GNIJE

Kamienica nie stoi przy ulicy, której numer wypisano na tabliczce, jest schowana, wejść można do niej od szerokiego podwórka. Ciężka północnoniemiecka secesja, zakurzona jak wiele w tej części szczecińskiego śródmieścia. Gdzieniegdzie odpadły płaty tynku, ale czerwone dachówki niewybrakowane. Masywne drzwi prowadzą na klatkę schodową, mocno czuć na niej wilgoć.

Schody są długie.

Siódmego lutego 2014 roku przypadła kolej Teresy D. Za szorowanie stopni zabrała się około południa, swoje wysokie, trzecie piętro chciała wyczyścić najpierw. Z sąsiadką z naprzeciwka zamieniła parę słów. Cicho, żeby były mąż nie usłyszał. Musiała zachować ostrożność. Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim – ona wyjedzie do Niemiec, zarobi, odetchnie.

Dobę później zza drzwi mieszkania dobiegną krzyki. Sąsiedzi musieli je słyszeć. Po dwóch kwadransach ucichną.

Zanim to się stanie, Tomasz D. osiem razy ugodzi Teresę D. ostro zakończonym narzędziem o szerokim ostrzu. Przebije się ono przez tkanki szyi, twarzy, brzucha, lewej ręki, klatki piersiowej. W czasie ataku – jak zostanie później zapisane w aktach sprawy – ciało pokrzywdzonej zmieniało położenie. Broniła się. Walce towarzyszyły piski, brzmienie podobne temu, które wydaje zwierzę, nie człowiek. Prawie skowyt.

Usłyszy go sąsiadka, ta sama, z którą Teresa D. rozmawiała poprzedniego dnia przy zmywaniu schodów. Przyłoży ucho do drzwi. Dobiegną ją słowa Tomasza D.: „A mówiłem ci". Sąsiadka postoi na klatce schodowej jeszcze chwilę, aż jakikolwiek dźwięk przestanie płynąć z wnętrza mieszkania. Zadecyduje: wrócić do domu. Nic więcej. Nie naciśnie dzwonka, nie zadzwoni na policję.

Rana cięta mięśnia sercowego Teresy D. właśnie wtedy uniemożliwi krwi swobodny przepływ. Kiedy krew natrafi na barierę, wzbierze i rozleje się

masywnym krwotokiem. Nastąpią: niewydolność krążenia i zatrzymanie akcji serca.

Wszystko potrwa zaledwie kilka, może kilkanaście minut.

Tomasz D. ułoży ciało byłej żony na gąbkowym materacu, przykryje ręcznikami, kocami, ściągnie też z karniszy zasłony i narzuci je na tak przygotowany stos.

Przez następne kilkadziesiąt godzin jeden z sąsiadów będzie się zastanawiał, skąd pochodzi słodko-kwaśny zapach, który od czasu do czasu czuje.

Nie wiadomo, co działo się w mieszkaniu przez następne dwa dni.

Trzeciego Tomasz D. na parę godzin je opuści. Na schodach uśmiechnie się witając z mijanymi sąsiadkami. Mieszkańcy kamienicy zgodnie będą potem wspominali: to był taki miły, spokojny człowiek.

Po powrocie Tomasz D. złamie klucz w zamku, tak by nie można było od zewnątrz otworzyć drzwi. Od wewnątrz zablokuje je, dociskając drzwiami od łazienki i szafką. Zamknie szczelnie wszystkie okna.

W kuchni odkręci kurki kuchenki gazowej, włączy palnik w piecyku. Zdemontuje nakrywki i stabilizatory płomienia. Gaz wydostawać się będzie odtąd niekontrolowanie.

Kilka godzin później zapach proszku dosypywanego do bezwonnego gazu ziemnego wyczuwać zaczną już sąsiedzi. Wezwane na miejsce pogotowie gazowe nie stwierdzi jednak ulatniania się.

Tomasz D. w tym czasie uszkodzi rurę, która doprowadzała wodę do zlewu w kuchni. Po kilku godzinach zacznie zalewać sąsiadów z mieszkania poniżej. Będą – bezskutecznie – próbowali dobić się do mieszkania, z którego pochodzi wyciek.

Tym razem sąsiedzi zawiadomią straż pożarną. Przed północą strażacy wyważą drzwi i wejdą do mieszkania. Tomasza D. odnajdą w kuchni, będzie leżał nieprzytomny w pobliżu sterty ubrań, koców, prześcieradeł. Nie uda im się nawiązać z nim kontaktu, przekażą go więc służbom medycznym. Dopiero po dokładniejszych oględzinach trafią na ciało Teresy D.

Narzędzia, którym została zabita, nie uda się znaleźć.

W środku nocy w mieszkaniu Anety D. zadzwoni domofon.

ILE BIAŁYCH WRON, TYLE MĄDRYCH ŻON

Jest ładna twarz, jest gęsta grzywka, która opada na czoło. Długie, ciemne włosy sięgają łokci. Są jak zasłona albo gruby szal do owinięcia się. Jest jeszcze szczupłe ciało: zgrabne nogi, smukłe palce – raz zginają się w pięść, raz uderzają delikatnie o blat stołu w ledwo słyszalnym rytmie.

Tylko Anety nie ma. Kamień jest – ani jednej emocji na twarzy. Nie rysuje się na niej gniew. Złość nie marszczy czoła, nie unosi brwi ani nie wygina ich w łuk zdziwienie. Skronie nie pulsują. W kącikach oczu nie zbierają się łzy, nie spływają po policzkach,

które nie są czerwone, bo się nie rumienią. Broda nie drży. Zastygła 11 lutego 2014 roku.

– „Coś niedobrego stało się u rodziców”. Tak powiedział głos w słuchawce domofonu. Od razu wiedziałam, że chodzi o to. Wiedziałam, że taki dzień przyjdzie. Przyjdzie policja.

To, czyli zdarzenie. Aneta nie używa innego słowa.

– Prokurator powiedział: „Pani matka nie żyje”. Zapytałam tylko: „Czy to mój ojciec ją zabił?”.

IM MĄŻ ŻONĘ SUROWIEJ TRAKTUJE, TYM WIĘCEJ ONA MĘŻA MIŁUJE

W tej historii nie wydarzyło się nic, co nie miało się wydarzyć.

Nie dziwi miejsce akcji. To mogło wydarzyć się wszędzie. I wydarzyło – miesiąc wcześniej we Włocławku i kilka tygodni później w Kraśniku, w Brodnicy. I zawsze. Raz, dwa, trzy. Nie minie tydzień, a tyle kobiet w Polsce zostanie zabitych przez mężów, byłych i obecnych, partnerów, konkubentów, ojców, braci. Charakterystyki głównych bohaterów też nie odbiegają od oczekiwań: Teresa była księgową, a Tomasz marynarzem, zwykli, przeciętni, nazbyt bezbarwni, żeby zaburzyć przewidywany tor, po którym ta opowieść ma się potoczyć.

Biegnie zgodnie z opisanym przez specjalistów schematem, jeden etap przechodzi płynnie w kolejny, aż do kulminacji. Nie będzie żadnego zwrotu akcji, bo nie może nastąpić, bo nie stanie się nic, co mogłoby

odwrócić bieg wydarzeń. I to też przewiduje scenariusz.

Będzie, co ma być.

Specjaliści zajmujący się osobami doświadczającymi przemocy (słowo „ofiara” – tłumaczą – stygmatyzuje) są w stanie zapisać to w kilku punktach.

Faza pierwsza: narastanie napięcia. Wszystko może wywołać złość sprawcy, każdy pretekst prowadzić do awantury. Sprawca może też sięgać po alkohol lub substancje zmieniające świadomość, które potęgują agresję. Poniża, wyzywa, nie panuje nad gniewem. Obiekt przemocy stara się udobruchać sprawcę, uspokoić go, powstrzymać przed wyrządzeniem mu krzywdy. Mogą u niego wystąpić objawy somatyczne: bóle żołądka, bóle głowy, bezsenność, utrata apetytu, lub psychosomatyczne: stany lękowe, apatia albo przeciwnie – nadpobudliwość, nerwowość.

Faza druga: gwałtowna przemoc. Szał, furia, eksplozja przemocy, czasem pod byle pretekstem. Obiekt stara się „zejść z drogi”, uspokoić, udobruchać. Często to tylko zwiększa agresję sprawcy. Po zakończeniu wybuchu jest w szoku. Boi się. Czuje wstyd, szuka winy w sobie. Może być: oszołomiony i bezradny, wpaść w letarg, pogrążyć się w apatii, nie myśleć racjonalnie.

Faza trzecia: miodowy miesiąc. Sprawca wyładował już złość, wie, że posunął się za daleko, zmienia się. Żałuje tego, co zrobił, obiecuje, że już nigdy więcej. Przekonuje obiekt swojej agresji, że to był tylko incydent. Stara się. Zachowuje jak dawniej. Obiekt zaczyna wierzyć, że naprawdę „zaczynają od nowa”.

Faza jednak przemija i znów wraca faza narastania napięcia. Miodowy miesiąc zatrzymuje tego, kto go doświadcza, w kręgu przemocy i nadziei.

To nie znaczy, że każdy przypadek przemocy jest taki sam. Każdy – przekonują badacze – jest po prostu beznadziejnie typowy.

CUD NAD CUDAMI, NIEGADATLIWA MIĘDZY NIEWIASTAMI

Gdyby coś jednak zaburzyło to, co nieuchronne, Teresa D. mogłaby odpowiedzieć na prośbę o pomoc w zebraniu materiału służącego do określenia programu resocjalizacji i wypełnić kwestionariusz.

Od jak dawna jesteście małżeństwem?

Poznaliśmy się przez biuro matrymonialne tuż po zakończeniu stanu wojennego. Oboje byliśmy lekko po trzydziestce. Pobraliśmy się dwa lata później, w 1985 roku. Wtedy na świat przyszła nasza córka Aneta.

Jak układało się pożycie (zwłaszcza: w początkach małżeństwa, przed aresztowaniem)?

Mąż nie krył niezadowolenia z ciąży, choć wcześniej deklarował chęć posiadania dzieci. Kiedy urodziłam, użył zwrotu: „Mam nietrafioną rodzinę". Sugerował oddanie córki na wychowanie dziadkom. Nie zgodziłam się.

Czy były między wami kłótnie? Z jakiego powodu (warianty podkreślić): picie alkoholu, wychowywanie dzieci, pieniądze, przebywanie poza

domem, zdrady małżeńskie, wtrącanie się w sprawy małżeńskie osób trzecich, inne.

Kłótnie były na porządku dziennym. Z każdego powodu. Wielokrotnie groził mi, że mnie zabije. Powtarzał to w obecności córki, w rozmowach ze swoją siostrą. Krzyczał w czasie awantur. Wnosiłam sprawy karne o znęcanie się i groźby karalne, z powodu zatarcia wyroku nie o wszystkich mogę mówić.

Jak często mąż pił alkohol?

Jedynie sporadycznie. Alkohol nie był przyczyną agresji.

Czy ubliżał, używał słów obelżywych?

Gnida, kurwa, szmata, psycholka, wariatka, krowa, łajza, kocmołuch, dziwka, debilka, idiotka, matoł, brudas, babsztyl, świnia, lampucera, latawica, dupodajka, kanalia, zołza, śmieć, bezwartościowa szmaciara, znajda, suka [tu kończy się wykropkowane miejsce na formularzu].

Czy miał skłonności do niszczenia względnie sprzedaży sprzętu domowego?

Jeden pokój w mieszkaniu, jedyny oddzielny, zamknął na klucz i przechowywał tam przedmioty, które uważał za swoją wyłączną własność i do których z córką nie miałyśmy prawa.

Czy łożył na utrzymanie rodziny?

Nie łożył. Uważał, że skoro rodzina źle mu się trafiła, nie ma takiego obowiązku. Moim było zagwarantowanie jedzenia, opłacenie rachunków. Zakupy robiliśmy oddzielnie: ja dla siebie i córki, mąż dla siebie. Lodówka była podzielona na pół, szafki też.

Nie wiedziałam, ile zarabia. Od rozwodu nie płacił zasądzonych alimentów, jego dług w momencie zdarzenia przekraczał pięćdziesiąt tysięcy złotych. Kiedy straciłam pracę, długo nie mogłam znaleźć innej, może ze względu na mój wiek. Przekwalifikowałam się na opiekunkę osób starszych, nauczyłam języka, zaczęłam wyjeżdżać do Niemiec. Chciałam zaoszczędzić, wykupić mieszkanie.

Czy interesował się dziećmi, ich wychowaniem, sposobem spędzania wolnego czasu?

W stosunku do córki mąż wykazywał obojętność. Z czasem wrogość. W późniejszych latach, kiedy się usamodzielniła, nazywał ją „gnidą”. Nie śledził wyników szkolnych, nie spędzał z nią wolnego czasu, nie dawał prezentów. Córka nie mogła zapraszać do domu rówieśników. Kiedy wracała ze szkoły, miała zachowywać się tak, żeby nie sprawiać problemów. Córka nie ma z dzieciństwa żadnych dobrych wspomnień związanych z rodziną, domem. Relacja między nimi nigdy nie została nawiązana.

Czy ktoś pomaga pani materialnie lub w inny sposób?

Nie mam rodziny. Rodzina ze strony męża wykazuje solidarność z nim. Z powodu jego zazdrości zmuszona byłam zerwać znajomości z koleżankami z pracy i z dzieciństwa, ponieważ wybuchały na tym tle awantury. Utrzymywałam kontakt jedynie z jedną bliską przyjaciółką, której jednak, z powodu wstydu, nie zwierzałam się z problemów w domu. Mąż podejrzewał mnie o romans w pracy, dlatego

ograniczyłam do minimum kontakty ze współpracownikami. Sąsiedzi nie wykazywali zainteresowania moją sytuacją. Choć w domu wielokrotnie dochodziło do awantur i interwencji policji, z nikim nie rozmawiałam na ten temat.

Dlaczego trwała pani w związku, który pani nie satysfakcjonował?

[Brak odpowiedzi].

GUST KOBIET, POGODY JESIENNE – WSZYSTKO TO ODMIENNE

Aneta odtwarza w głowie ostatnie miesiące i lata, próbuje ją znaleźć.

– Nie wiem, dlaczego się z nim nie rozstała. Miał na nią ogromny wpływ, jakby ją paraliżował, tak była podporządkowana. Najgorsze, że nie bił. Ja przynajmniej tego nie pamiętam, może potem, kiedy nie mieszkałyśmy już razem.

Najgorsze – bo tego, co robił, nie było widać. I nosić to na początku łatwiej, nie zostawia śladów, więc można dłużej udawać, że to się nie dzieje.

Córka:

– Słowo przeciwko słowu, nic więcej. Gróźb nie widać w obdukcji. Kiedy byłam mała, żałowałam, że nie pił i nie bił. Że to, co robi mojej mamie, nie zostawia żadnego śladu, że nikt jej w pracy nie zapyta, skąd podbite oko. W końcu jednak, po kilkunastu latach małżeństwa, mama złożyła pozew o rozwód.

Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, co się dzieje, dlaczego w tym tkwi.

Rozwód, mimo trudności z jego strony, mama dostała. Pozostawała jednak kwestia mieszkania. Chciała w nim zostać, a ojca spłacić, tak żeby jak najszybciej się wyprowadził. Ale on nie przystawał na żadną propozycję. Drukowałyśmy z mamą ogłoszenia, że poszukujemy mieszkania, sprawdzałyśmy w jego rodzinnym mieście, do którego chciał wrócić. Ale nic mu nie odpowiadało. Śmiał się za każdym razem, mówił, że przecież jemu jest tak dobrze.

Upór. Nie chciała uciekać, chociaż – zgodnie z przewidywanym dla niej scenariuszem – to powinna była zrobić. Nie trwać przy swoim, tylko wycofać się i uciec. Zostawić sprawcę w spokoju, a swojego poszukać gdzie indziej. A ona nie. Nie wiadomo, skąd jej się to wzięło. Córka prosiła i namawiała, a ona za każdym razem powtarzała: zostanę.

Pomoc społeczna mówiła: „Niech pani ucieka". Prawnicy też załamywali ręce: „Sytuacja jest, proszę pani, patowa, nie można podzielić mieszkania, musi go pani spłacić, ale lepiej by było dla wszystkich, gdyby pani odpuściła. Zostawić mu to i wynająć coś, ceny nie są wysokie, pokój z kuchnią z pani zarobkami powinien się znaleźć". A potem, na przykład, kiedy nie będzie już mogła pracować? Jak to potem? „Potem" nie mieści się w zakresie zainteresowania systemu wymiaru sprawiedliwości. „Ma pani córkę, córka pomoże na pewno".

Uporu jeszcze w niej trochę zostało. Na własną rękę zaczęła szukać. W dziale prawnym gazety znalazła

sposób. Sąd może jednak pomóc, jest furtka prawna. Złożyła wniosek, w wyrokach obu instancji przyznano jej rację. Mieszkanie można podzielić, połowę sumy – niewiele ponad dwadzieścia jeden tysięcy złotych – Teresa D. ma spłacić byłemu mężowi. I będzie wolna.

Tak mogłoby się wydarzyć, gdyby nie tylko upór, lecz także inne elementy tej historii przełamywały jej schemat. Ale jak już powiedziano, żaden cud w przypadku Teresy D. się nie zdarzył.

Owszem, rozwiązanie było tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Tylko że były mąż nie chciał przyjąć pieniędzy. Nie miał konta, przekazu pocztowego nie odebrał. Wpłaciła więc na konto sądowe z wnioskiem o przyjęcie ich przez sąd w depozyt. Ona się wywiązała, sąd powinien uznać, że dołożyła wszelkich starań.

Nie zdążył.

KOCHAJ ŻONĘ CAŁĄ DUSZĄ, A TRZĄŚ NIĄ JAK GRUSZĄ

Aneta:

– Myślę, że on nigdy nie chciał się wyprowadzić. Chciał ją nadal kontrolować. Przez ten cały czas nie chciał zmienić tej sytuacji. Przecież to się ciągnęło dziesięć lat! Przed rozwodem musiał zawsze wiedzieć dokładnie, gdzie wychodzi. Z kim się spotyka, dokładnie przepytywał ją po każdym wejściu do domu. Po rozwodzie było tylko coraz gorzej.

Cztery lata przed śmiercią Teresa D. po raz kolejny poszła na komisariat. Bała się o życie, były mąż znów

jej groził. Opowiadał, jak pozbawi ją życia, ze szczegółami wyjawiał jej swój plan. Pokazywał noże z gromadzonej kolekcji; bardziej przypominały Teresie maczety niż narzędzia kuchenne. Policjant przyjmujący zgłoszenie niechętnie wszczął procedurę Niebieskiej Karty: specjalnego mechanizmu dla osób doświadczających przemocy, kartoteka sprawy i plan działania w konkretnej sprawie – przynajmniej w teorii. Karta szybko jednak została zamknięta: policjant wezwał byłego męża Teresy D., przyjął jego wyjaśnienia, że to była żona jest niestabilna psychicznie i nie można dać jej wiary. Że to ona gnębi i nie pozwala mu się wyprowadzić (na czym to uniemożliwianie miałoby polegać, Tomasz D. nie umiał sprecyzować, a policjant nie dopytywał).

Aneta:

– Kiedy ja byłam przesłuchiwana, od tego zaczął policjant: czy mama jest zdrowa. Nic innego go nie interesowało. Kiedy zaczęłam mówić o tym, jak wyglądało życie mamy, przerywał i bagatelizował: „Każdy tak może powiedzieć”.

Kilka dni po wizycie na komisariacie Tomasz D. dzwonił do siostry i opowiadał, jak zabije byłą żonę. O szykowaniu maczety i proszków nasennych, którymi się potem odurzy. Potwierdziła to później w sądzie.

Aneta:

– Śmiał się, że mama naiwna była, idąc na ten komisariat.

ŚMIAĆ SIĘ I PŁAKAĆ BEZ PRZYCZYNY UMIEJĄ

Dlatego, dobrowolnie, Teresa D. poszła poddać się badaniom psychiatrycznym. Dokument zaniosła do komisariatu, ale przy kolejnych interwencjach nadal wracało pytanie, czy na pewno jest poczytalna. Awantury w domu zaczęła w końcu nagrywać telefonem. Na nagraniach są krzyki, wyzwiska, ubliżanie. Kiedy i je zaniosła na komisariat, policjant zaprosił oboje na konfrontację. Po jednej stronie salki ona, po drugiej były mąż, odczytano im stenogram z nagrania, po czym funkcjonariusz zapytał: „Czy wyzywa pan żonę?”. Zaprzeczył.

Aneta:

– I tak zostało zapisane. „Nie wyzywa, czasem ją może tylko nazwie psycholkiem”.

„To takie przekomarzanie, nic pani nie rozumie”. „Przesadza pani, histeryzuje”. Zwykłe nieporozumienie domowe.

„Nieporozumienie” według *Słownika języka polskiego* PWN: «pomyłka wynikła z niewłaściwego zrozumienia czegoś», «spór, niesnaski», «coś ocenianego krytycznie jako pozbawione sensu lub niestosowne». Nie jest jasne, kiedy zaczęła się w języku polskim kariera tego zwrotu jako synonimu: bicia, zastraszania, obrażania, gwałcenia. Przyjął się.

Aneta:

– Mama wróciła z komisariatu zdruzgotana. Nie wiedziała, co jeszcze może zrobić, skoro zdobyte przez nią dowody nie wystarczają. Straciła jakiekolwiek zaufanie do organów ścigania, przestała wierzyć

w prawo. Tym bardziej że ojciec wniósł przeciw niej sprawę o zniesławienie: skoro policja nie widzi w jego zachowaniu niczego złego, to dlaczego ona ciągle mówi co innego? Sprawę umorzono, ale mamę uciszył.

To wtedy upór zaczął w niej gasnąć. Został – można powiedzieć – instytucjonalnie pozbawiony sensu.

ZACHOWAĆ, CO W SEKRECIE, NAJCIĘŻEJ JEST KOBIECIE

Schemat wrócił więc na właściwe tory. Od tamtej pory Teresa D. będzie zachowywać się już tak, jak powinna, żeby jej historia mogła dotrzeć do przewidzianego dla niej finału.

Wróci do domu i będzie próbowała żyć w warunkach, których nie da się zmienić. Wychodzić do pracy, a potem wracać do mieszkania z zamkniętym na klucz pokojem, w którym oddzielne gospodarstwo prowadzi były mąż. Nie słyszeć wyzwisk, nie odpowiadać na zaczepki, szturchania, odzyskiwać równowagę po popchnięciu, jeśli nie uda się przed nim schować.

Uciekać zacznie też przed córką. Skoro sama nie umie się uwolnić od byłego męża, musi – tak sobie zacznie tłumaczyć – ratować ją. Odetnie się. Niech jej tu nie odwiedza, nie dzwoni, nie prowokuje ojca, zejdzie mu z drogi. Sama też nic jej nie powie, Aneta jest wrażliwa, delikatna, ale nie da sobie łatwo zamydlić oczu, będzie chciała pomóc. A przecież pomóc się nie da.

Córka:

– Ja to widziałam trochę inaczej. Ona nie chciała być ofiarą, pytała: dlaczego to ja mam uciekać? A ja chciałam, żeby rzuciła wszystko i się ratowała. Wzięła, jak na filmach, jedną walizkę pod pachę i uciekła, zostawiła wszystko.

Trudno ocenić, czy to żal małej Anety, czy tej dorosłej.

– Mama powtarzała w kółko: „On mnie wszędzie znajdzie”, „Nie odpuści mi”. Nie było w tym żadnej logiki. To, że kat zostaje wolny, a ona musi uciekać, siedziało w niej jak jakaś zadra. Nie umiałam jej wyciągnąć.

A potem matka odcięła się od niej już zupełnie.

– Mieszkałyśmy kilka ulic od siebie, ale nie mogłam jej nigdy zastać, nie odbierała moich telefonów. Była w kontakcie tylko z przyjaciółką.

Teresa już wtedy wiedziała: żadnego happy endu dla niej nie będzie. Ekspertów do spraw przemocy to nie dziwi: ofiara jest w potrzasku, nie wierzy, że cokolwiek może zmienić jej los. Jest sama, a to, co ma się stać – musi się wydarzyć. Nie ma ratunku.

Będzie przecież, co ma być.

Upór zupełnie z niej wyparował. Jest już tylko przemykanie korytarzem, kiedy on jest w mieszkaniu, usuwanie z niego ostrych narzędzi, brak snu – żeby nie dać się zaskoczyć.

MĄŻ ŻONY NIE MIŁUJE, KIEDY SKÓRY NIE WECUJE

Aneta:

– Kiedy mnie przesłuchiwano, prokurator powiedział: „To pani ojciec, może być trudno, może pani odmówić składania zeznań”. Nie rozumiałam: dlaczego to ma być trudne? On był przecież dla mnie obcym człowiekiem. Złożyłam obszerne zeznania, trwało to do rana, na chwilę przyszła do mnie jakaś młoda pani psycholog, zupełnie nie wiedziała, co ma ze mną zrobić. Zapytała: jak się pani czuje? A ja nie czułam się wcale, nic nie umiałam odpowiedzieć, siedziałyśmy w ciszy. Nie pamiętam, co działo się przez następne dni. Wydawało mi się, że to pomyłka, że mama jest w szpitalu. Dopiero po trzech tygodniach, w dniu pogrzebu, zrozumiałam, że nie jest. Że znikąd nie wróci.

Biegli orzekli, że w chwili popełnianego czynu Tomasz D. był poczytalny. Rozpoznano u niego jednak cechy osobowości nieprawidłowej. Egocentryzm, chłód emocjonalny, brak umiejętności nawiązywania głębokich uczuć, występowanie impulsów agresji, wrogości. Osobowość narcystyczną, skoncentrowaną na sobie, niezwykle podejrzliwą. Tamtego dnia nie działał jednak w stanie silnego wzburzenia. To, że nie jest w stanie odtworzyć przebiegu sytuacji z 11 lutego, biegli tłumaczą wyparciem. Zdanie z opinii: „Zabójstwo to jedno z najbardziej stresogennych sytuacji w życiu człowieka”. To, że oskarżony nie pamięta popełnionego przez siebie zabójstwa, jest wynikiem działania mechanizmu obronnego.

Tuż przed ogłoszeniem wyroku Tomasz D. mówi tylko jedno zdanie:

– Nie utożsamiam się z tym zdarzeniem.

Zdarzeniem – tak zaprotokołowano.

U KOBIETY WŁOS DŁUGI, A ROZUM KRÓTKI

Kamienna twarz Anety D. nadal niczego nie wyraża, kiedy o tym opowiada. A ona sama wyrzuca z siebie szybko, strzela słowami jak z procy: konkrety, brak miejsca na oddech.

– Na pogrzebie ksiądz mówił o wybaczeniu, ale ja nie umiem wybaczyć. Nie umiem też nie myśleć o mamie. Codziennie na nowo analizuję każdą rozmowę, spotkanie.

Ostatnie było w przeddzień śmierci.

– Spotkałyśmy się na klatce schodowej w jej kamienicy. Byłam przekonana, że znów nie będzie chciała się ze mną widzieć, zajrzałam tylko do skrzynki; mam klucz, czasem poczta tam jeszcze do mnie przychodzi. Stanęłyśmy w drzwiach. Mama smutna jak zawsze. Uciekła przede mną jak wcześniej wiele razy.

Pauza trwa długo.

– Mam poczucie winy, że nie pomogłam jej bardziej. Powinnam siłą ją stamtąd zabrać, powinnyśmy uciec gdzieś, gdzie by nas nie dopadł. Byłam dla mamy jedyną podporą i sensem życia. Nie mam rodzeństwa, nie mamy dalszej rodziny, byłyśmy tylko my dwie. I on. Ale kiedy ona nie chciała się poddać i uciec, wiedziałam, że nie mogę już więcej jej pomóc. Nawet zostając tam.

Aneta nie wini systemu, nie szuka winnych, nie ma w sobie żalu do państwa.

– Ja po prostu już w nie nie wierzę. Ani w to, że można znaleźć pomoc. Mama się nie poddawała, walczyła, a państwo ją zawiodło. Nikt nie stanął po jej stronie.

Nikt nie skierował jej nigdy do psychologa, nie podsunął adresu, pod którym mogłaby znaleźć pomoc.

– Tuż po zdarzeniu zabrali mnie na ten sam komisariat, gdzie przychodziła wcześniej mama. Policjantka, która mnie przesłuchiwała, pytała, dlaczego wcześniej nie reagowałyśmy. Zaczęłam wymieniać: jedna sprawa karna, druga, jedna wizyta na komisariacie, druga, trzecia… Powiedziałam jej, kto zajmował się zgłoszeniami. Wtedy policjantka wzruszyła ramionami, jakby mnie chciała przeprosić.

Nie miałam dość siły, żeby wyciągnąć konsekwencje. Postępowanie w sprawie zdarzenia trwało ponad rok. Nie wiem, co się przez ten czas działo. Płynął czas, a mnie nie było. Dopiero teraz czuję coś, co może być złością. I kiedy oglądam dziś w telewizji jakieś materiały o przemocy, chce mi się śmiać, gdy słyszę: „Czy można było temu zaradzić?”.

Tak, można było.

Nie, nie można było.

Moja mama radziła sobie jak mogła. Ale im dłużej to trwało, tym trudniej było jej coś zmienić.

Tylko sędzia, który wydał wyrok, nas nie zawiódł. Jakby miał tym wynagrodzić mi to wszystko. Naprawić, co zawiodło i doprowadziło do tego, że

położono przed nim akta z życiem mojej matki – mówi Aneta.

Przewodniczący składu orzekającego nie chciał komentować zamkniętej już sprawy, nie można więc go zapytać, czy Aneta ma rację. Proces był poszlakowy, brakowało narzędzia zbrodni, a główny dowód to zeznania córki. W wielu podobnych sprawach w Polsce zapadały inne wyroki. Niższe. Uniewinniające. Nie jest też powszechne zasądzanie zadośćuczynienia i uzależnienie od niego ewentualnego wcześniejszego zwolnienia: jeśli Tomasz D. nie wpłaci na konto córki stu tysięcy złotych, nie będzie się mógł o nie ubiegać. Bo on nie ma takich środków.

Ale po wyroku nie przyszedł spokój. Wysiadła kiedyś z tramwaju, bo wydawało jej się, że Tomasz D. też w nim jest, choć wie, że to przecież niemożliwe. Plecy miała mokre od potu. Czuje na nich jego oddech, kiedy wraca wieczorem. Areszt śledczy, w którym przebywał do rozprawy, jest oddalony tylko kilkaset metrów od jej domu. Za blisko, żeby spróbować o tym nie myśleć.

Jakby jej dalsze życie miało być czekaniem. Bo od momentu, kiedy wyrok zapadł – Aneta zaczęła liczyć.

Za dwadzieścia pięć lat jej ojciec będzie ledwo po siedemdziesiątce. Wyjdzie na wolność może jeszcze dość sprawny. Przyjdzie po nią. Przecież to ona wsadziła go do więzienia. Aneta nie ma wątpliwości, że tak właśnie będzie.

Dlatego nie chce założyć rodziny. Nie chce być matką, którą ktoś kiedyś zabije.

Ani taką, o której ktoś napisze komentarz, jak te, które recytuje z pamięci. Jest ich kilka, niezbyt wiele,

lokalna prasa poświęciła sprawie ledwie parę krótkich notek. Nie więcej, bo to naprawdę nic wyjątkowego: „Nie macie już o czym pisac tylko ze kolejna kobita dała się zabić???” (pyta zhurr).

– On mnie nienawidzi. Napisał ostatnio z więzienia list do swojej siostry, w którym pisze o tym otwarcie. Jedyne, co go tam trzyma przy życiu, to zemsta.

Znów, czuje Aneta, będzie, co ma być.

Niektóre szczegóły zostały zmienione. Wszystkie śródtytuły to ludowe mądrości i porzekadła.

MACIEJ WASIELEWSKI

KOŁO ZWIERZEŃ

Grupa:

Sufin; 32 lata; inicjator koła zwierzeń; posiada silne cechy przywódcze; cierpiał na nadwagę, ale schudł; autor książki; konferansjer.

Wiśniewski; 32 lata; przykładny ojciec i mąż; headhunter w prawicowym wydawnictwie; w grupie od dziewięciu lat.

Dziubak; 34 lata; kiedyś, uczestniczył w osiedlowych bójkach; empatyczny, gra na gitarze; w grupie od ośmiu lat.

Najgebauer; 32 lata; melancholik z awersją do nauk ścisłych; amator seriali; w przeciwieństwie do pozostałych w grupie nie kryje się z niskim poczuciem wartości; w grupie od trzech lat.

Sikora 29 lat; magister prawa, umuzykalniony, posiada deficyt bliskości; łatwo się zaprzyjaźnia; w grupie od trzech lat.

Staryszak; 33 lata; w dzieciństwie tańczył walce, tanga i rumby, co do dziś jest dla niego traumą; przykładny ojciec i mąż; pedant; deprecjonuje rolę dzieciństwa w kształtowaniu dorosłości; pracownik wytwórni Disneya; w grupie od ośmiu lat.

Młynarski; 32 lata; interesuje się historią powszechną; malkontent; kwestionuje istnienie depresji; w grupie od dziewięciu lat.

Buchwald; 30 lat; osobowość narcystyczna; aktor i reżyser; syn znanego reżysera teatralnego; w Londynie roznosił ulotki agencji towarzyskiej; w grupie od dziewięciu lat.

Rudawe światło lampy wypełnia pokój w piwnicy. Na lewej ścianie wisi lustro w kształcie jaja – znajduje się ono w centralnym miejscu i każdy, kto przechodzi obok, chyłkiem się w nim przegląda, a na twarzy zaraz pojawia się grymas, coś jakby samokarcenie. Do dwóch przeciwległych ścian przylegają kanapy z weluru. Na jednej siedzą Sikora i Najgebauer, a na drugiej Wiśniewski. W rogu, frontem do drzwi stoi jeszcze okrągły stolik, a na nim butelki po piwie, jedno napoczęte igristoje, kartonowe opakowanie z chusteczkami do nosa i taśma izolacyjna. Do pokoju, w którym tak bezczynnie czekają, prowadzi kiszkowaty korytarz i kiedy ktoś przejdzie, podłoga głośno dudni. Sikora potrafi rozpoznać po sposobie chodzenia nie tylko, kto idzie, lecz także w jakim jest nastroju. Od pięciu minut uderza pięścią w klatkę piersiową i wydobywa z siebie tubalne odgłosy. Najgebauer nie zwraca na niego uwagi, właściwie to tkwi w bezruchu i poddaje się jakimś zmartwieniom. Wiśniewski tylko raz się odzywa, mówi bardziej do siebie niż do nich, że w pokoju panuje pierdolnik, ale nic z tym nie zamierza robić. Z jego twarzy prawie nigdy nie znika uśmiech, nawet kiedy narzeka na bałagan.

Jest to ich ulubione miejsce, ledwo dostrzegalne w miejskim krajobrazie jak modne salony fryzjerskie, do których nie wchodzi się ot tak, z ulicy.

– To Dziubak idzie – podrywa się nagle Sikora. – Chyba nie jest w formie.

I rzeczywiście zaraz potem w drzwiach staje Dziubak, zbolały, z mokrym nosem:

– Nie całujemy się dzisiaj, panowie – mówi i jakby na potwierdzenie tych słów od razu kaszle.

– Czy to grypa? – pyta z troską Sikora.

– Wczoraj miał trzydzieści dziewięć stopni – tłumaczy Wiśniewski, po czym spogląda na Dziubaka wzrokiem poszukującym upewnienia. – Trzydzieści dziewięć, prawda?

Dziubak przytakuje, po czym rzuca na stolik puste opakowanie paracetamolu.

– To ja ci, bracie, herbatę przyniosę – proponuje Sikora i w okamgnieniu podnosi się z kanapy. W drzwiach natyka się na Staryszaka, który wyciera dokładnie buty o wycieraczkę. Ściskają się starym zwyczajem i poklepują po plecach. Obaj lubią okazywać sobie bliskość, choć Staryszak bodaj nigdy żadnego uścisku nie zainicjował. Jest nieco wycofanym trzydziestodwulatkiem, a perfekcyjnie wyprasowana koszula i ugładzone włosy, które spryskuje lakierem, pozwalają myśleć, że traktuje siebie nazbyt surowo.

– Jezus, ale bałagan – mówi głosem dość nerwowym, lecz bez przebicia, i nie czekając na reakcję pozostałych, od razu bierze się do sprzątania. Kiedy widzą go z mopem, śmieją się z niego (kolektywnie uznają zasadę, że w żartach o sprzątaniu nie może paść słowo „Ukrainka”), a on kwituje, że są obrzydliwie dziecinni.

Po chwili wraca Sikora z herbatą. Niesie ją nieco niezdarnie, co rodzi prawdopodobieństwo, że zaraz ją rozleje. Dziubak, widząc jego nieporadność, błyskawicznie odbiera od niego filiżankę, po czym przykleja sobie cytrynę do czoła. To ani trochę nie

dziwi pozostałych. Wiśniewski udaje przed nim jednak zdziwienie:

– Co ty robisz? – pyta teatralnie.

– Przykleiłem cytrynę do czoła – odpowiada beznamiętnie Dziubak.

Wiśniewski doskonale wie, czego życzy sobie Dziubak i czego życzą sobie wszyscy w grupie. Wiśniewski buduje grupę od początku, od dziewięciu lat. Sikora i Najgebauer zostali przyjęci wprawdzie przed dwoma laty, ale pozostali mówią, że w grupie poruszają się już sprawnie, że z pewnością nie zostaliby zaaprobowani przez ogół, gdyby nie zbieżność potrzeb i podobieństwo charakterów. Ponieważ Wiśniewski reaguje jak należy, to jest wykazuje zainteresowanie Dziubakiem, obaj mogą usiąść na kanapie i pogrążyć się w ciszy. Tę jednak przerywa Sikora – trąca łokciem filiżankę z herbatą. Filiżanka spada na podłogę i sypie się na kawałki.

– Kurwa, znowu to zrobił! – Dziubak podnosi ręce w geście bezsilności, lecz już po chwili dopowiada ze stoickim spokojem: – Nic się nie stało.

– Tak, nic się nie stało, Sikora – odzywa się Wiśniewski, po czym robi minę, jakby pożałował, że w ogóle się odezwał.

Sikora usztywnia się na słowa Dziubaka, daje się nawet usłyszeć jego ciężki oddech:

– Wydaje mi się, że jest między nami problem – cedzi. – Znasz zasadę grupy: należy nam się rozmowa.

Dziubak, który już się znajduje w parterze ze zmiotką, robi minę w stylu „Oh, my God” i odpowiada:

– Porozmawiamy o tym, kiedy przyjdą wszyscy, dobrze? – To „dobrze" wypowiada tonem jeszcze łagodniejszym, jakby próbował udobruchać Sikorę.

– Odbierasz mi prawo do wyrażania uczuć – oponuje ze złością Sikora, co brzmi dość groteskowo, zważywszy, że ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Zanim Dziubak cokolwiek odpowie, Staryszak odbiera mu zmiotkę i wyjaśnia, że on te rozbite kawałki posprząta za Dziubaka, to znaczy za Sikorę.

– No właśnie, a gdzie są pozostali? – pyta Wiśniewski i najwyraźniej próbuje odciągnąć uwagę Sikory, bo sam odpowiada na to pytanie: – Sufin zaraz rodzi, ale obiecał, że przyjdzie. A Buchwald, no cóż, może dostał wpierdol.

Najgebauer od początku siedzi przytłumiony i ani razu nie włącza się do rozmowy.

Do pokoju wchodzi Młynarski, mężczyzna raczej skryty, co tylko podkreślają zielona kurtka parka i kaptur na głowie.

– Ej, o Młynarskim zapomnieliśmy. – Drapie się po czole Wiśniewski.

Sikora obejmuje Młynarskiego w serdecznym uścisku i mówi:

– Tylko twoich kroków jeszcze nie rozpoznaję.

– Widocznie tak być musi – odpowiada ponuro Młynarski i nie rozwija tej myśli, bo z korytarza akurat dolatuje hałas:

– Złoty król, kurwa! Wszyscy gramy pod Buchwalda.

– Ty mi nie mów, kurwa, o królach, bo ty odrzucasz wszystko i wszystko odrzuca ciebie.

– Znów mierzą sobie fiuty – kwituje Dziubak i spotyka się z pełnym zrozumieniem pozostałych.

– Jak lepiej mówić? Sufin i Buchwald czy Buchwald i Sufin? – wtrąca Sikora, ale nikt z obecnych nie ma zamiaru odpowiadać na jego pytanie.

Za to drzwi otwierają się i do pokoju wchodzą Sufin z Buchwaldem albo Buchwald z Sufinem, bo naprawdę trudno określić. Sufin to taki typ, który musi wiedzieć, co piszą w rubryce kulturalnej „Polityki", ale nigdy się do tego nie przyzna. Nosi okulary *à la* Woody Allen. Buchwald jest po prostu sobowtórem Adriena Brody'ego.

– To ile mamy czasu? – pyta Sufin bezceremonialnie, jeszcze w wejściu.

Staryszak spogląda na zegarek:

– Godzinę.

– W takim razie siadamy w kółku – klaszcze Sufin.

– Tak jest, *duce* – wyzłośliwia się Buchwald.

– Pogrzebmy sobie w psychice – mamrocze Młynarski.

Wiśniewski i Staryszak, który nie lubi pozostawać w bezruchu, ustawiają krzesła w półokręgu.

– Pozwólcie, że ja dziś zacznę – prosi Sikora. – W ubiegłym tygodniu prawie się nie odzywałem.

– Ale za to dwa tygodnie temu gadałeś i gadałeś – przerywa mu Buchwald, jednak pozostali obcinają go

wzrokiem.

– Dajcie mu powiedzieć. – Dziubak bierze Sikorę w obronę.

– A co ty się taki mędrzec zrobiłeś, Dziubak – wtrąca Młynarski.

– Mam poczucie, nie wiem, może znowu przesadzam. – Sikora układa ręce jak do modlitwy. – No, mam poczucie, że ostatnio mniej się o siebie troszczymy.

– Cicho – przerywa mu Buchwald. – Chcę powiedzieć coś ważnego. – Robi dłuższą pauzę i czeka, aż wzrok wszystkich skupi się na nim. – Żenię się, panowie – mówi w końcu i uderza pięścią w stolik.

Pokój wypełnia cisza.

– Emi jest w opór piękna, uroda tysiąc. I rozumie moje żarty.

Wpatrują się w niego nadal bez słowa.

– Ona akceptuje grupę – dodaje.

– Wspaniale, bracie! – Zrywają się kolejno z kanap i krzeseł. Podchodzą, gratulują, obściskują. Wszyscy oprócz Sikory.

– Czy ja mogę dokończyć? – pyta tonem pretensji.

– Mów, stary, przepraszam. – Buchwald udaje przed nim skruchę.

– Czuję się przez was oceniany. Jest mi z tym trudno.

– Jak mówisz „trudno”, to zawsze patrzysz na mnie – znów przerywa mu Buchwald, tylko nie wiadomo,

czy w jego głosie pobrzmiewa pretensja czy drwina.

– Nie, on wtedy patrzy po kolei na wszystkich – dopowiada Dziubak.

– Wy nie rozumiecie, o czym mówię, prawda? – Rozkłada ręce Sikora.

– Nie każdy cię ostatnio rozumie – wzdycha Dziubak.

– Przegrałeś życie – żartuje Buchwald i wybucha śmiechem.

– To szyderstwo – Sikora na to.

– Szyderstwo jest oznaką miłości – teraz Buchwald. – Osoby, które najbardziej obrażam, to są najbliższe mi osoby. To jest mój problem. Kiedyś chciałem się zmienić, ale uznałem, że to mój krzyż i będę niósł go przez życie. Będę nieświadomie krzywdził ludzi.

– Kiedy on mówi „pierdol się”, to nie chce, żebyś się pierdolił, rozumiesz? To znaczy chce, ale w innym sensie – odzywa się Sufin, jak to on, dyplomatycznie. – Wszyscy cię tu kochamy jak brata.

– Panowie, wracamy do koła zwierzeń – ponagla Dziubak. – Ile mamy czasu?

– Czterdzieści minut – odpowiada Staryszak, którego zegarek spóźnia się najmniej spośród wszystkich.

– To może ja. – Podnosi rękę Wiśniewski.

– A co ty taki niewyspany?

– No właśnie. Pół nocy spędziłem z Jankiem w szpitalu.

– A co się stało?

– Wsadził śrubokręt do kontaktu.

– Wałęsa – mówi Buchwald.

– Poraziło go?

– Nie zauważyliśmy. Anka rozmawiała przez telefon, a ja składałem pranie. Janek zaczął tak potwornie płakać, więc my w te pędy do szpitala. Okazało się, że wszystko z nim w porządku, ale wiecie, mam teraz potwornego moralniaka. Czy ja jestem złym ojcem?

– Jesteś przeczulony – mówi Młynarski.

– Wszyscy jesteśmy.

– Wiśnia, jesteś najlepszym ojcem, jakiego świat widział.

– Tak?

– Nie, no, koleś wstaje o piątej, jedzie pod Żyrardów, do pracy, której nienawidzi, zarabia kupę kasy, żeby dziecko miało te wszystkie legoludki, wraca zjebany i niańczy małego aż do zaśnięcia. Jesteś ojcem z kosmosu, Wiśnia.

– Mój ojciec mówi, że nic nadzwyczajnego nie robię.

– Panowie, proszę, nie o ojcach – wtrąca się Dziubak.

– Mój stary mnie tępił – odzywa się nagle Najgebauer, pierwszy raz. – Mówił, że jest tylko jedna rzecz, której można się w życiu oddać. – Mówiąc to, porusza palcami jak na kalkulatorze. – Matematyka. Albo będę matematykiem, albo będę niewystarczający.

– Twój ojciec przychodzi. Na wszystko ważniejsze przychodzi. Andrzej, tak? – pyta Dziubak, tym razem tonem psychoterapeuty.

– Tak.

– Mój też, pan reżyser – mówi Buchwald, po czym wstaje i zaczyna naśladować głos ojca. – „Ty naprawdę chcesz być aktorem? Są lepsi”.

– Powoli wchodzimy do bagna! – znowu Dziubak.

– Ty nie rozmawiasz z ojcem, prawda, Dziubak? – pyta Buchwald.

– Nie będę mówił o tym panu.

– Ostatnio minęliście się na ulicy.

– I jak się z tym czujesz, Dziubak? – pyta Najgebauer.

– Popracuj trochę. Nie możesz od razu dostać deseru.

– Po co nam ojcowie, skoro mamy siebie?

– Po co nam matki?

– I dziewczyny?

– Głupi jesteś. Niech ci Staryszak powie. Miał jedenaście lat, jak pochował ojca.

– Wywołujecie mnie siłą do tej rozmowy – krzywi się Staryszak, który zdążył dokładnie wymyć podłogę, a teraz bierze się do stolika.

Widocznie chce w ten sposób opóźnić odpowiedź. Podaje też Sikorze dwie butelki po piwie, żeby je przytrzymał na moment, ale Sikora od razu upuszcza i tłucze.

– No nie, znowu to zrobił! – mówi z udawanym przejęciem Dziubak, a reszta pokłada się ze śmiechu.

– Przepraszam – odpowiada szczerze zrezygnowany Sikora.

– Zostaw to – ordynuje Staryszak i już klęka do potłuczonych butelek.

– Teraz twoja kolej, Staryszak. Nie musisz opowiadać o ojcu – radzi Sufin. Odzywa się rzadko. Tylko kiedy dyskusja ustaje albo trzeba postawić puentę.

– Mam problem z tym, co zrobiliście ostatnio z moją mamą – mówi cicho Staryszak.

– Zegar zagłady zbliża się do północy – podnosi głos Dziubak.

– Chodzi o tę kasetę, tak? – upewnia się Wiśniewski.

– Opowiedzcie, chłopaki, bo mnie nie było u mamy Staryszaka – podrywa się Buchwald.

– No więc nakłoniliśmy mamę Staryszaka, żeby o nim poopowiadała, bo wiecie, Staryszak taki skryty.

– I co? – dopytuje Buchwald.

– Puściła nam kasetę wideo. Staryszak pomykał w białych kalesonach jak dziewczynka, balet tańczył – obwieszcza radośnie Wiśniewski.

– Rumbę we fraku! – przerywa mu Staryszak. – Każdy miał krępujące dzieciństwo.

Nagle oczy mu czerwienieją i zaczyna nerwowo przeczesywać grzywkę.

– Co ty pierdolisz? – oponuje Buchwald i już ma potrzebę mówić o sobie, ale nie pozwala mu na to Staryszak:

– Mam do was pretensje. Wykorzystaliście moją mamę. Ja bym wam nigdy nie pokazał tej kasety. Nikomu!

– O, tak tańczył! – ciągnie opowieść Wiśniewski. – Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery…

– Nie byłem w to jakoś mocno wkręcony – odpowiada poważnym tonem Staryszak, jakby na siłę próbował się od całej sytuacji zdystansować.

– Raz, dwa, trzy, cztery – nie daje mu spokoju Wiśniewski.

– Zamknij ryj, proszę cię uprzejmie! – krzyczy Staryszak. – Zachowujesz się dziecinnie!

– Patrzcie, potrafi głośno – śmieje się cały czas Wiśniewski.

– Krzycz, uwolnisz emocje – dopowiada Dziubak.

– Każdy z nas by się chwalił taką kasetą – uznaje Buchwald. I dodaje zaraz: – Dziecinnie? Z czym ty masz problem?

– Z punktu widzenia dorosłego ja uważam, że ten cały dziecięcy taniec to było coś okropnego.

– Dlaczego deprecjonujesz dzieciństwo? – pyta Buchwald, nie wiadomo, czy żartem, czy serio.

Staryszak jednak nie chce albo nie potrafi żartować z dzieciństwa.

– Musiałem szybko dojrzeć – mówi, a ręce mu latają. – Nie interesuje mnie brak odpowiedzialności, głupota, prymitywne zabawy.

– To co ty z nami robisz? – śmieje się Buchwald, a po chwili śmieją się już wszyscy oprócz Staryszaka.

– Wolę tę wajchę przechylić na drugą stronę, nawet jeśli to ma wam przeszkadzać. Lubię dorosłość.

– Koleś, pracujesz w Disneyu, a twoje mieszkanie pooblepiane jest w Kaczory Donaldy – zauważa Dziubak.

– Bo mam dzieci!

– Daj spokój, Staryszak. Doceniamy, że po nas sprzątasz – żartuje z niego Buchwald.

– Nie musisz odpowiadać, Staryszak. – Sufin bierze go w obronę, lecz przybiera dość mentorski ton.

– Podziękuj wodzowi – kpi z Sufina Buchwald.

– Sufin, a co u ciebie wydarzyło się w ostatnim tygodniu? – Wiśniewski najwyraźniej czuje odpowiedzialność za to, w jakim kierunku toczy się ta rozmowa, chce zdjąć ciężar ze Staryszaka i pewnie dlatego wchodzi w rolę rozjemcy. – To co u ciebie, Sufin?

– Doszedłem do granicy. I jedyne, co mnie uwalnia, to śmiech.

– Dramatyzujesz.

– Gdybyś miał takie dzieciństwo jak on, to też byś dramatyzował – mówi Młynarski, który zna Sufina od czwartej klasy podstawówki.

– To znaczy jakie dzieciństwo? – Buchwald szuka zaczepki.

Młynarski, który do tej pory milczał, nie potrafi sobie teraz odmówić:

– W szkole poszła plotka, że Sufin całował kupę.

Parskają śmiechem. Tylko Staryszak i Sikora reagują.

– Tak nie można! – wołają jednym głosem.

– Spokojnie. Niech się nabijają – odpowiada z głębokim spokojem Sufin. – Wpierdol w grupie musi być symetryczny.

– No i wyglądał na niedotlenionego – ciągnie dalej Młynarski.

– Tak, byłem grubawym pajacem w powyciąganym swetrze. Chodziłem do szkoły, w której uczyła moja matka. Ona zwracała się do mnie tonem inwektywy: „Z ciebie to jest taki Sufin”, mówiła. Dwa razy miałem z nią zastępstwo i dwa razy wyleciałem po piętnastu minutach. Musiałem robić z siebie pajaca, żeby ktoś inny nie zrobił ze mnie frajera.

– Ej, to niegłupie – wtrąca Buchwald.

– Wszyscy tak mamy – zauważa Wiśniewski.

– Najgebauer, teraz twoja kolej, Najgebauer! – Dziubak szturcha go w kolano.

Najgebauer tylko udaje, że nie słyszy, że niby jest pochłonięty czym innym. W rzeczywistości niecierpliwie czeka na swoją kolej. Chce im wszystkim opowiedzieć o tym, że będzie tydzień, jak wpadł w panikę, i że wciąż z niej nie wyszedł.

– Zdałem sobie sprawę, że moje życie zależy od ciebie, Sufin. Ty jedną decyzją możesz mnie odciąć od wszystkiego, co dla mnie ważne.

Sufin milczy, najwidoczniej połechtany wyznaniem Najgebauera.

– Dwa lata temu, kiedy dołączyłem do grupy, byłem twoim pupilem, nie zaprzeczaj, Sufin – mówi Najgebauer.

– Jedynym pupilem – dodaje Buchwald.

– Byłem w ciebie wpatrzony. Gdzie ty, tam i ja. Wiesz, ja dogmatycznie trzymałem się tego, co mówiłeś. Że grupa jest ważniejsza niż jednostki. Pamiętasz, kiedyś poprosiłeś, żebym ci poopowiadał o sobie, pamiętasz?

– Nie pamiętam – odpowiada przepraszająco Sufin.

– Ja ci wtedy na to, że nie mam nic do powiedzenia. Napiliśmy się, pamiętasz?

– Teraz pamiętam.

– Rozwiązał mi się język i w końcu mnie polubiłeś. Powiedziałeś, że spodobały ci się moje anegdoty. Niesiony tymi słowami chodziłem za tobą wszędzie.

– W czym jest problem? – pyta Sufin.

– Już dawno nie usłyszałem od ciebie nic miłego. Boję się, że mnie nie akceptujesz w grupie.

– Z grupy można odejść tylko na własne życzenie. Nie można zostać wyrzuconym – wyjaśnia opiekuńczym tonem Dziubak i, o dziwo, nikt nie zaśmiewa się z wyznania: „Niesiony tymi słowami chodziłem za tobą wszędzie”.

– Najgebauer, gdybyś się nawet przespał z moją narzeczoną, to ja bym cię nie wyrzucił, rozumiesz? – mówi mu prosto w oczy Buchwald. – Mamy przecież zasady.

– Pójdziemy za sobą w ogień, tak? – dodaje Wiśniewski.

– Młynarski, a jak tobie minął ostatni tydzień? – pyta Dziubak.

– Wiecie, że nie lubię tak przed wszystkimi.

– Po dziewięciu latach? – nie dowierza Sufin.

– Ja już nic nie mówię – wtrąca Buchwald. – On mnie kiedyś nie lubił.

– Buchwald, ty to jesteś taki dopowiedziany do końca – mówi Wiśniewski, kwitując to uśmiechem.

– Nie lubiłem? – reaguje Młynarski. – Z wzajemnością chyba.

– Bo byłeś dla mnie zagrożeniem. Startowałem do mojej poprzedniej narzeczonej, a ty zaprosiłeś ją na jakieś tańce.

– Wycofałem się, jak zacząłeś ją podrywać.

– Ile mamy czasu? – pyta Sikora, chyba obrażony, że nie dali mu mówić tyle, ile by chciał.

– Pięć minut.

– To idę się wyszczać – odpowiada.

– Ja wam mówię, ta terapia małżeńska doprowadzi nas do rozwodu. – Dziubak kiwa palcem.

– Mówisz tak od lat – śmieje się Wiśniewski.

– Ale jest w tych naszych rozmowach taki duży ładunek smutku – ciągnie dalej Dziubak.

– Do myślenia skłania tylko smutek – mówi Sufin i ucieszyłby się, gdyby rozmowa skończyła się w tym momencie.

– Smutek komików – dodaje Buchwald.

Z łazienki wraca Sikora. Źle się oparł albo coś, w każdym razie lewą nogawkę ma kompletnie zalaną. Dziubak dostrzega jego zakłopotanie. Na szczęście na stoliku leży taśma izolacyjna. Dziubak podchodzi do Sikory i zalepia taśmą mokre miejsce. Urywa też kolejne plastry i zakleja spodnie: Wiśniewskiemu, Sufinowi, Buchwaldowi, Młynarskiemu, Staryszakowi, Najgebauerowi i sobie. Robi to bez słowa, oni bez słowa się na to godzą.

– Już czas – przerywa milczenie Staryszak i pokazuje na drzwi.

Wychodzą jeden za drugim, przez kiszkowaty korytarz, prosto na scenę.

Publiczność wita ich długimi brawami.

– Mili państwo, witamy was serdecznie w Klubie Komediowym – kłania się Sufin. – Nazywamy się Klancyk i zagramy dla was spektakl improwizowany. Komedia jest sprawdzianem, czy ktoś nas akceptuje, czy nie. My nie akceptujemy rzeczywistości, dlatego idziemy w groteskę. My, mili państwo, pierdolimy rzeczywistość.

OBRAŻENIA POBICI Z POLSKĄ

Spis treści

Projekt okładki
Ania Kowalska

Zdjęcie na okładce
Kuba Dąbrowski

Redakcja
Justyna Wodzisławska

Korekta
Bogusława Jędrasik
Łukasz Mackiewicz, eKorekta24.pl



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź nas na 

ISBN 978-83-8032-098-7



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl